

Halina Dudzińska

Galicyjskie przygotowania do partyzantki płk. Józefa Zaliwskiego

Rocznik Kolbuszowski 9, 207-283

2006-2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Galicyjskie przygotowania do partyzantki płk. Józefa Zaliwskiego

I. PRZYGOTOWANIE

Joachim Lelewel uważał, że należy przeprowadzić pierwsze przygotowania do partyzantki Józefa Zaliwskiego na ziemiach polskich zaboru austriackiego i pruskiego przed przybyciem tam naczelników okręgowych z Francji. Wysyłał więc emisariuszy z odpowiednimi poleceniami do znanych mu galicyjskich i poznańskich szlachciców. Jednak emisariuszy tych było niewiele, nie znali oni jeszcze dokładnej daty rozpoczęcia powstania, gdyż tę ustalił J. Zaliwski ostatecznie dopiero w listopadzie 1832 r. i dotarli zbyt późno do miejsca przeznaczenia. Tutaj zaś szlachta polska nie czuła się wcale na siłach, aby podejmować, na wezwanie płk. Józefa Zaliwskiego, wojnę z Rosją. Byłoby to też równoznaczne z wystąpieniem przeciwko innym zaborcom, którzy zwalczali, podobnie jak i carat, wszelkie myśli o odbudowaniu Polski, obawiając się utraty zagarniętych prowincji. Te fakty zdecydowanie utrudniały większe przygotowania dla wsparcia wyprawy Zaliwskiego, ale pewne działania w tym kierunku zostały podjęte.

Nie wiemy, jaki przebieg miały one w Poznańskim, gdzie czynili je mjr Antoni Krąkowski, właściciel wsi Chelmino w obwodzie łęczyckim i hr. Mielżyński. Dzięki zapisom pamiętnikarzy z Galicji posiadamy nieco wiadomości o tym, jak wyglądały przygotowania powstańcze na tym terenie.

Polecenie prowadzenia akcji galicyjskiej przekazał J. Lelewel przez Waleriana Pietkiewicza Wincentemu hr. Tyszkiewiczowi. Pietkiewicz wyjechał z Paryża we wrześniu 1832 roku. Do Galicji przyjechał w listopadzie, podróżując przez Śląsk Cieszyński. Nie zastał jednak W. Tyszkiewicza w Kolbuszowej. Odnalazł go dopiero w Nawarii koło Lwowa. Wincenty przyjął zadanie, Pietkiewicz zaś spędził jakiś czas w lwowskim mieszkaniu Seweryna

Goszczyńskiego. Napisał stamtąd optymistyczny list do J. Lewela, donoszący, że duch narodowy Galicjan jest wspaniały i robota pójdzie gładko, po czym wyjechał do Drezna. Mieszkał tam trochę w hotelu, trochę w domu Klaudyny z Działyńskich hr. Potockiej, znanej patriotki i działaczki społecznej z okresu Powstania Listopadowego oraz początków Wielkiej Emigracji. W lutym 1833 r. ułatwiał, przy jej finansowej pomocy, dalszą drogę do celu ściągającym już z Francji do Niemiec „żurawiom”. Wśród „żurawi” był także i ich wódz – Józef Zaliwski. Zatrzymał się on na kilka dni w Dreźnie, rozmawiał z Pietkiewiczem i ruszył do Galicji. Pietkiewicz udał się do Paryża i opiekował się, razem z Walentym Zwierkowskim, osamotnioną Franciszką Zaliwską i jej dziećmi.

Tymczasem Wincenty Tyszkiewicz potraktował poważnie sprawę partyzantki i przystąpił od razu do działania na jej rzecz, chociaż wcale nie miał ku temu dobrych warunków – nie był przecież obywatelem galicyjskim, lecz imigrantem na pobycie czasowym. Władze austriackie patrzyły nań podejrzliwie i wkrótce, spostrzegłszy jego aktywność, zaczęto się domagać, żeby opuścił Galicję i wyjechał na Zachód. Nie znał on też jeszcze dobrze terminu wybuchu powstania i myślał, że ma większą ilość czasu do przygotowania partyzantki. Pracę powstańczą rozpoczął W. Tyszkiewicz od tego, że informował szlachtę o nadchodzącym powstaniu i starał się wciągnąć znajome osoby do tworzonej przez siebie na początku 1833 r. konspiracyjnej organizacji wojskowej.

Henryk Bogdański tak pisał o tym w swoich wspomnieniach: „pierwszy popęd do tajnego i powszechnego u nas spisku dał W. Tyszkiewicz, któremu sam J. Zaliwski polecił przygotować Galicję do wyprawy na Moskwę. Tyszkiewicz, rzutki i czynny, rzucił się pomiędzy szlachtę dla uzyskania materialnej pomocy i porozumiewał się z młodymi ludźmi w celu łączenia się ich z mającymi przybyć z Francji partyzantami. Dla ściślejszego ujęcia w karby i zobowiązania pozyskanych, zaprowadził tajny związek, któremu nadał odpowiednią organizację. Nie dał mu jednak nazwy, więc później związek ten nazywano „Bezimiennym”. Siedliskiem jego dyrekcji był Tarnów z odnogą we Lwowie. Nowość uderzyła wszyskich i związek w krótkim czasie znacznie się rozkrzewił”.

Podobno oprócz młodych obywateli ziemskich do „Związku Bezimiennego” wciągał też jego twórca mieszczan, kupców i rzemieślników. Pamiętnikarze zanotowali jednak tylko pewną ilość nazwisk związkowców szlacheckich, nie podając miejscowości, z których pochodzili. Związkowcami byli: August Bielowski, Tomasz Bogucki, Mieczysław Darowski, Edward Dulski, Mikołaj i Seweryn Godlewscy, Bogusław i Onufry Horodyńscy, Nereusz Hoszowski, Henryk Janko, Adam Kochanowski, Emil Korytko, Benjamin

i Maciej Skarбек – Borowscy, Józef, Roman i Wincenty Rozwadowscy, Konstanty Rucki, Mieczysław Skarżyński, Kazimierz Szeliński, Eugeniusz Ulatowski, Marcin Zamoyski, Józef Żwakowski, Tadeusz Żebrowski i inni.

„Związek Bezimienny” rozwinął się wkrótce od Tarnowa do Tarnopola i Złoczowa na Podolu. Posiadał on karbonarską strukturę: pięciu członków tworzyło komórkę zwaną rotą, której przewodził wybierany zwierzchnik nazywany rotnikiem. Związkowcy mieli być ściśle zakonspirowani, przybierali sobie pseudonimy i nie wolno im było zbierać się na narady. Rotnicy mieli obowiązek zakładać nowe roty i troszczyć się o nie. Rozkazy otrzymywali w umówiony sposób i w ten sam sposób przesyłali raporty przywódcy związku. Wszyscy związkowcy składali przysięgę na wierność sprawie, kładąc rękę na odkrytym pałaszu. Nie każdy z nich musiał wziąć osobisty udział w wyprawie w granice Rosji, miał jednak pracować dla niej.

Pamiętnikarze galicyjscy zanotowali, że na przełomie lat 1832 i 1833 powstał też wśród szlachty w Galicji, prawie równocześnie ze „Związkiem Bezimiennym”, drugi związek. Skupiał się on przy Franciszku Ksawerym hr. Krasickim, prezesie nierozwiązanego jeszcze Lwowskiego Komitetu Obywatelskiego z 1831 r., który wspierał Powstanie Listopadowe. Krasicki był w kontakcie z obydwojema obozami Wielkiej Emigracji, ulegając oczywiście silniej wpływowi arystokratów. Nowy, związany przy nim związek, posiadał dwudziestu jeden członków, stąd otrzymał on nazwę „Związku Dwudziestu Jeden” albo „Związku Dwudziestu Jednych”. Do tej organizacji, uważanej za konserwatywną, należeli wśród innych ziemian: Ludwik Jabłonowski, Jerzy Henryk hr. Tyszkiewicz z Weryni, a z emigrantów Seweryn Goszczyński. „Dwudziestojedni” widzieli wzrost napięcia politycznego w Galicji, zapalenie się umysłów i wrogość wobec Rosji i obawiali się tego. Wprawdzie jako prawi Polacy uważali, że kraj ich powinien przygotować się na „mogącą zająć potrzebę”, lecz chcieli kontrolować działalność obcą i nie dopuścić do przedwczesnego, nieprzygotowanego wybuchu.

Wincenty hr. Tyszkiewicz dotarł jednak do hr. Krasickiego i innych członków „Związku Dwudziestu Jeden” i pozyskał ich dla powstańczych prac przygotowawczych, pomimo, że agitowali przeciwko nim przybyli do Galicji, też na początku 1833 r., emisariusze księcia Adama Czartoryskiego. W styczniu i w lutym tego roku Tyszkiewicz podróżował nieustannie, według H. Naglerowej, pomiędzy Tarnowem i Lwowem, informując i agitując. Najbliższym jego współpracownikiem w Galicji Zachodniej został Józef Przerwa-Tetmajer, uczestnik rewolucji listopadowej, który osiadł po jej klęsce z matką i braćmi we wsi Mikołajowice koło Tarnowa. Jego brat Karol pełnił jakąś funkcję u kolbuszowskich

hr. Tyszkiewiczów. W Galicji Wschodniej pracował ofiarnie dla Zaliwsczyzny, pozyskany przez Wincentego, Eugeniusz Ulatowski, właściciel majątku Laszki koło Lwowa.

Wincenty hr. Tyszkiewicz posiadał na pewno korespondencyjną łączność z Joachimem Lelewelem i już w styczniu wiedział o „żurawiach” zdążających ku ziemiom polskim i terminie rozpoczęcia przez nich wojny partyzanckiej. Chyba pod jego wpływem Ksawery Krasicki urządził w dniu 13 lutego 1833 r. w swoim domu we Lwowie uroczysty zjazd przyjaciół i znajomej szlachty pod pozorem uczczenia imienin cesarza austriackiego. Wystąpił na nim Wincenty hr. Tyszkiewicz i mówił z uniesieniem, że: „bracia z nad Sekwany pospieszają wstępnym bojem kraj z letargu obudzić i na pole bitew po odzyskanie niepodległości wywołać”. Zapowiadał też uwłaszczenie chłopów i powszechną walkę z zaborcą. Słowa Tyszkiewicza wzbudziły jednak raczej refleksję, a nie wielki entuzjazm wśród słuchaczy. Wprawdzie w sercach i umysłach ich paliły się, jak wspomina Franciszek Wiesiołowski, różne emocje, macąc spokój ducha i odciągając od codziennej pracy, ale myśl o wywołaniu wojny i o koniecznych dla niej ofiarach mroziła krew w wielu żyłach.

Niektórzy obywatele serdecznie pragnęli odzyskania przez Polskę wolności i byli gotowi oddać dla tej sprawy wszystko, co posiadali a nawet i życie, ale byli oni w mniejszości. Większość ziemian patrzyła realnie na świat i chciała zachować, nawet i dla ojczyzny, byt swój i swoich rodzin. Nie widziała ona możliwości dla polskiego powstania.

Konflikt egipsko-turecki przycichł i nie zanosilo się na jakąś wojnę z Rosją. Polacy i Litwini w zaborze rosyjskim żyli w atmosferze terroru i strachu, to samo mogło spotkać w każdej chwili mieszkańców dwóch pozostałych zaborów. Stąd szlachta galicyjska zebrana na zjeździe u hr. Krasickiego zobowiązała się jedynie udzielić gościny braciom przybywającym z nad Sekwany, wysłać kurierów do Paryża dla uzgodnienia działań, składać datki pieniężne wyznaczonym osobom i porozumiewać się wzajemnie w poruszanej sprawie.

Pomimo ostrożnej postawy Galicjan, Wincenty hr. Tyszkiewicz zrobił już dużo dla sprawy Józefa Zaliwskiego. Zawiadomił bowiem o projekcie tego pułkownika i jego współpracowników oraz przygotował grunt na przyjęcie „żurawi” i wyprawienie ich poza rosyjski kordon graniczny. Wnet musiał on spełniać i inne czynności, bo szybko mijały gorączkowe dla niektórych dni pozostałe do daty 19 marca 1833 r.

Galicyjski organizator partyzantki wyjechał do miejsca swojego urodzenia, by oczekiwać na dalsze wypadki. Agitował

nadal wśród sąsiadów, co odnotował Franciszek Wiesiołowski z Wojsławia: „Wincenty hr. Tyszkiewicz przesiadujący u brata w Kolbuszowej pierwszy zawiadomił mię, że ma coś ważnego w kraju nastąpić; że przybyli emisariusze mają zbierać oddziały zbrojne, z którymi chcą wpaść w rozmaitych punktach do Polski Kongresowej, tak od Galicji jak i od Prus, żeby rozpocząć wojnę partyzancką z Rosją. Liczą na emigrantów i na młodzież przeszkoloną w rzemiośle wojennym. Oddziały te, wkroczywszy w granice Polski Kongresowej, miały głównie poruszyć masy ludu, głosząc im rewolucję socjalną, zniesienie pańszczyzny, zrównanie stanów, pod warunkiem wzięcia za oręż. Głównym zadaniem naszym w Galicji było werbować ochotników, pomagać im do uzbrojenia, dostarczać pieniędzy, odzieży, obmyślać środki i punkty przeprawy przez granicę, najłatwiejsze do przebycia, a po skutecznieniu tego wszystkiego iść za drugimi. Tyszkiewicz używał mnie do rozmaitych poleceń i posyłek dostosowanych do wieku i niedoświadczenia mojego. Nie wdając się w rezonowanie i krytyczny rozbiór tego przedsięwzięcia, nie wątpiłem ani przez chwilę o najlepszych jego skutkach. Dla realizacji przedsięwzięcia zaczęli zjawiać się w Galicji i Księstwie Poznańskim prawie już od początku marca przyszli naczelnicy okręgowi. Jako pierwszy z nich przyjechał w okolice Lwowa Henryk Służalski, teraz Dąbrowski, okręgowy hrubieszowsko-zamojski”.

Wspomniany w cytacji okręgowy był, podobnie jak Franciszek Wiesiołowski, pełen najlepszych myśli. W domach, w których się znalazł, opowiadał w zaufaniu, że wkrótce cała Polska, a może i cała Europa oraz Rosja powstaną do walki przeciwko despotom i tyranom w imię powszechnej równości i wolności. Inni przybysze, a w marcu 1833 r. ściągnęło ich na ziemie polskie zaboru austriackiego i pruskiego około pięćdziesięciu, nie byli tak pewni siebie. Zaraz spostrzegli, że nie czekają tu na nich partyzanckie oddziały powstańcze, a myśl o powstaniu wcale nie jest popularna wśród dojrzałych przedstawicieli galicyjskiej czy poznańskiej szlachty, a nawet i u goszczących u nich oficerów z armii Królestwa Polskiego. Nie zaobserwowali również prawie żadnych przygotowań do powstania, zaś ich wyprawa w granice Rosji stała albo pod znakiem zapytania, albo postrzegana była jako wyczyn samobójczy.

Wkrótce przekonał się o tym i samozwańczy naczelnik główny, płk Józef Zaliwski, który po dwóch miesiącach podróży dotarł z Paryża do Kolbuszowej trasą sprawdzoną wcześniej przez Waleriana Pietkiewicza. Dzięki zeznaniom Zaliwskiego, złożonym w latach 1833-1835 przed sądem austriackim, a opublikowanym w 1984, możemy odtworzyć z grubsza jego drogę z Francji do Galicji. Z grubsza, bo J. Zaliwski mówił przed sądem rzeczy konieczne,

inne pomijał. I tak na przykład L. Jabłonowski opisał we wspomnieniach spotkanie Józefa Zaliwskiego z kilkoma naczelnikami okręgowymi i Julianem Ordonem, byłym porucznikiem artylerii i obrońcą warszawskiej reduty, upamiętnionym przez wiersz Adama Mickiewicza, przysłanym w 1833 r. przez emigracyjne Towarzystwo Demokratyczne Polskie dla obserwacji Zaliwsszczyzny. Odbyło się ono w domu Jabłonowskiego w Lubieniu koło Lwowa. Spotkanie to, nazywane przez opisującego naradą wojenną, na pewno miało miejsce, chociaż chyba nie przed wyprawą Zaliwskiego do Królestwa Polskiego, co sugeruje autor, lecz już po jego powrocie z niej. Zaliwski jednak wcale nie wspomniał w zeznaniach o pobycie w Lubieniu i w innych miejscowościach. Mówił zaś o swojej drodze do Polski w następujący sposób: wyjechał z Paryża 17 stycznia z Henrykiem Dmochowskim, mając przy sobie paszport, znaczną sumę pieniędzy, listę naczelników okręgowych, ich zastępców i innych wojskowych, list rekomendacyjny od gen. La Fayette'a do kogoś w Szwajcarii, spis nazwisk przywódców niemieckich komitetów przyjaźni z Polakami, do których on i inni „żurawie” mogli się zwracać o pomoc, tekst artykułów partyzantskich i przysięgi oraz notes z nazwiskami paryskich znajomych. Jechali dyliżansami z przesiadkami. Od Szwajcarii miał paszport na nazwisko Józef Malinowski, Dmochowski podróżował jako Sanders. Bez przeszkód dotarli do śląskiego Cieszyna i przeszli granicę Galicji. Potem jechali, początkowo najętymi, a następnie udostępnionymi dworskimi końmi, przez Białą, Kęty, Bochnię, Dębicę do Kolbuszowej. Pierwszą noc na ziemi polskiej spędzili u Wojciecha Brandysa, dzierżawcy wsi Brody koło Kalwarii Zebrzydowskiej, poznanego przez Zaliwskiego w 1831 r. w Pogórze, drugą w domu szlacheckim w Dzonie koło Bochni, trzecią u Tetmajerów w Mikołajowicach pod Wojniczem, gdzie spotkali się z por. Kasprem Dziewickim, okręgowym radomskim.

W dniu 17 marca 1833 r. Zaliwski i Dmochowski stanęli na kolbuszowskim rynku. Rynek ten otaczało wówczas podobno tylko dziewięć domów prywatnych i budynek skarbowy. Kolbuszowianie, katolicy w liczbie około sześciuset pięćdziesięciu osób, mieszkali jeszcze w dwóch wychodzących z rynku ulicach, drugie tyle Żydów zajmowało pobliską dzielnicę, nazywaną zdaje się wtedy Zagaciem, a później Kątami. Na wschód i południe od rynku płynął Nil, do którego przytykały dwa stawy. Za stawem określanym mianem „Morza Czerwonego” stał dwór, a w nim Wincenty Tyszkiewicz oczekiwał na „braci znad Sekwany”.

Zaliwski poprosił spotkanego mieszczanina, żeby ten poszedł do dworu i powiedział hrabiemu Tyszkiewiczowi, iż jakiś obywatel chce się z nim widzieć. Tak się stało. Potem według

słów Zaliwskiego: „Wyszedł Wincenty Tyszkiewicz. Spotkałem go na grobli i zostałem od niego poznany. Wtem nadjechał Tetmajer. Poprosiłem więc Tyszkiewicza, żeby mi wskazał jakiego obywatela nad granicą i takowemu mnie polecił, nie wyjawiając mojego nazwiska. Co mi przyrzekłszy, oświadczył, że mnie z Dmochowskim sam zawiezie. Z Tetmajerem więc pożegnawszy się udaliśmy się we trzech do Horodyńskiego, do Zbydniowa”. Zaliwski rozmawiał z Wincentym Tyszkiewiczem w Kolbuszowej tylko na grobli pomiędzy stawami, przez którą wiodła wtedy i wiedzie dzisiaj, chociaż stawów już nie ma, droga do dworu i do kolbuszowskiego kościoła. Według zeznań J. Zaliwskiego, nie wszedł on wcale do kolbuszowskiego dworu, a rozmawiał pewnie z jego współwłaścicielem w czasie podróży do Zbydniowa.

H. Naglerowa pisała, że Józef Zaliwski wyraził wobec Wincentego Tyszkiewicza rozczarowanie z powodu zbyt małych przygotowań powstańczych. Nie mogły być one jednak spore, skoro prowadzono je jedynie przez trzy miesiące. Wincenty Tyszkiewicz i Henryk Dmochowski znali się jeszcze z Litwy. Nie wydaje się zatem prawdopodobne, żeby Zaliwski nie wstąpił do rodzinnego domu Tyszkiewicza, nie odpoczął przed dalszą drogą do Zbydniowa i nie porozmawiał z Tyszkiewiczem w zamkniętym miejscu, a tylko na grobli. Rozmowa tych dwóch mężczyzn była dłuższa i był przy niej obecny Józef Przerwa-Tetmajer, były żołnierz i poeta. On jednak nie pojechał już do Zbydniowa. Zaliwski wszedł więc chyba do dworu Tyszkiewiczów. Poznał tam Wojciecha Gajewskiego, oficera z byłej armii Królestwa Polskiego, emigranta przebywającego u Tyszkiewiczów oraz Pawła Neymanowskiego, pochodzącego z okolicy Jasła, dzierżawiącego folwarczek Felicji Tyszkiewiczowej, Rejowiec za Werynią. Gajewski pomagał Wincentemu w działalności na rzecz wyprawy, sprzyjał jej również i Neymanowski.

Michał Budzyński zapisał we wspomnieniach i powtarzają to przywoływana już H. Naglerowa i A. Barszczewska, że Józef Zaliwski był rozczarowany stopniem przygotowań. W istocie Tyszkiewicz ofiarował naczelnikowi przyszłego powstania pięćset strzelb pozostałych z 1831 roku, lecz ludzi przygotowanych nie miał i prosił gorąco Zaliwskiego o odłożenie partyzantki do następnego roku. Przyniósł, że odda dla niej całe swoje mienie, zbierze własnym wpływem i staraniem do trzech tysięcy ludzi i będzie wysyłał ich do Królestwa Polskiego oddziałami po trzydzieści, czterdzieści osób pod kierownictwem wskazanych przez Zaliwskiego dowódców, ale może to być dopiero za rok. Zaliwski jednak odpowiedział: „Przyrzekłem uczcić w tym roku rozpoczęciem powstania dzień moich imienin”.

Przed Komisją Śledczą we Lwowie zeznał on w 1833 i 1834 r.,

że uznał Tyszkiewicza za swój „główny organ”, za swojego zastępcę i powstańczego naczelnika Galicji. Zastępcą Tyszkiewicza miał być Józef Tetmajer. Zaliwski dał Tyszkiewiczowi list otwarty do szlachty wzywający ją do popierania walki partyzanckiej. List głosił też, żeby szlachta słuchała tylko Tyszkiewicza, a nie innych emisariuszy, zwłaszcza emisariuszy księcia Czartoryskiego, którzy agitowali przeciwko powstaniu. Tyszkiewicz otrzymał również polecenie mianowania odpowiedniego człowieka w każdym z osiemnastu galicyjskich cyrkułów dla zbierania broni, amunicji oraz składek pieniężnych dla ludzi udających się na wyprawę i organizowania ich przeprawy za granicę rosyjską.

Zaliwski domagał się także, żeby Wincenty Tyszkiewicz zbierał wiadomości o ilości okręgowych i towarzyszących im ludzi przekraczających tę granicę i wiadomości te przysyłał mu. Wynikł jednak problem, gdzie je kierować. Zaliwski nie posiadał jeszcze ustalonego miejsca pobytu na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Początkowo miał zdążać ku Warszawie. A. Barszczewska podaje, że miał on być głównym wodzem wyprawy, a także naczelnikiem okręgowym gdzieś w okolicy Mohylewa daleko na wschodzie.

Zaliwski mówił w śledztwie, że chciał być tam, gdzie byłby najbardziej potrzebny. Zdaje się jednak, że twórca powstania nakazywał wprawdzie w instrukcji dla naczelników okręgowych i partyzantów trwać i upartą walkę z carskim zaborcą i wzbudził w niektórych okręgowych przekonanie o potrzebie takiej walki, ale sam nie myślał zbyt wiele walczyć. Ciągłe mu się zdawało, że jego pojawienie się w Królestwie wywoła wielki entuzjazm i powszechne, polskie powstanie. Oczekiwał też wybuchu wojny Rosji z którymś z państw europejskich czy azjatyckich i od niej uzależniał prowadzenie lub też wstrzymanie rozpoczętych działań partyzanckich. Wskutek tego w rozmowie z Wincentym Tyszkiewiczem, chyba w Kolbuszowej, polecił mu posyłać raporty poprzez partyzantów do Karola Bobińskiego, znajdującego się na razie w Galicji Wschodniej, przyszłego okręgowego ostrogsko-krzemienieckiego. On powinien był kierować je dalej. Zaliwski domagał się też, żeby Tyszkiewicz przybył po dwudziestym kwietnia do Lwowa w celu odebrania dalszych rozkazów. Tyszkiewicz przyrzekł to, bo jak pisze Barszczewska, posiadał on patriotyzm, ambicję, śmiałość, gotowość do poświęceń i przyjmował dyrektywy Zaliwskiego bez dyskusji.

Wincenty wybierał się również około dwudziestego piątego kwietnia do Warszawy jako powstaniec – partyzant. Powiedział o tym Karolowi Lachowskiemu, byłemu podoficerowi z Powstania Listopadowego, przebywającemu u Jerzego Henryka Tyszkiewicza w Weryni. Lachowski wyruszył na wyprawę do Królestwa jako Zaliwarczyk w następnym oddziale powstańczym, sformowanym

w Kolbuszowej i Zbydniowie. Schwytany przez Rosjan, powiedział w śledztwie, że Józef Zaliwski, będąc w Kolbuszowej, poszedł z Wojciechem Gajewskim i Pawłem Neymanowskim do kościoła i dopiero potem Wincenty Tyszkiewicz sam odwiózł jego i Dmochowskiego poprzez Werynię i Rejowiec do Zbydniowa, własności braci Onufrego i Bogusława Horodyńskich. Odwiedzin w kolbuszowskim kościele Zaliwski nie potwierdził.

Zaliwski, Tyszkiewicz i Dmochowski przyjechali do Zbydniowa, oddalonego od Kolbuszowej około sześćdziesiąt kilometrów, jeszcze 17 marca i zanocowali. Następnego dnia odwiedzili Zbydniów Jerzy i Adam księżęta Lubomirscy, właściciele majątku w niedalekim miasteczku Rozwadów. Później Rozwadów, Zbydniów i inne tamtejsze miejscowości znalazły się w powiecie tarnobrzeskim. Były wśród tych miejscowości wsie Wrzawy i Brzoza należące do barona Tytusa Horocha, polskiego patrioty o obcym nazwisku, jednego z najaktywniejszych wówczas obywateli galicyjskich. 18 marca Tyszkiewicz odjechał do Kolbuszowej, pozostali zaś Lubomirscy, a następnego dnia przyjechał Horoch.

Zaliwski zeznał przed Komisją Śledczą, że występował wobec Horodyńskich i ich gości jako Malinowski i nie rozmawiał z nimi o wyprawie. Znowu nie trzeba temu wierzyć, gdyż starał się on w śledztwie „skompromitować”, czyli obciążyć współpracą w jego „przestępstwie”, jak najmniejszą ilość osób. Mężczyźni odwiedzający Zbydniów, a należeli do nich jeszcze Konstanty Nowakowski, dzierżawca folwarku w Dzierdziówce, przysiółku Zbydniowa i inni, na pewno wiedzieli, kim jest obywatel Malinowski i po co do nich przyjechał, współdziałali w jego sprawie i mocno ją przeżywali. Oni też przygotowali ludzi do oddziału, chociaż Zaliwski twierdził w śledztwie, że sam zwerbował sobie w Zbydniowie czterech wojskowych Osoby te same miały przyłączyć się do niego, usłyszawszy, że wybiera się do Królestwa Polskiego, aby odwiedzić tam rodziny. Dwóch żołnierzy, trochę broni i amunicji przysłał zaraz Zaliwskiemu Wincenty Tyszkiewicz z Kolbuszowej. Tak powstał w Zbydniowie powstańczy oddział liczący zaledwie sześciu partyzantów. Jest rzeczą ciekawą, że Zaliwski nie chciał posiadać więcej towarzyszy, choć w okolicy Zbydniowa było wtedy umówionych kilkunastu kandydatów do partyzantki.

Dwudziestoletni Antoni Karczewski, syn galicyjskiego oficjalisty, były powstaniec listopadowy, przebywający w marcu 1833 r. w Dzierdziówce, członek kolejnego oddziału zaliwskich, złapany zeznał przed sądem rosyjskim, że on przygotował dla Zaliwskiego piętnastu ludzi i sam chciał z nim pójść. Jednak Zaliwski nie przyjął do swojej grupy ani ochotników, ani Karczew-

skiego. Tego ostatniego uznał za „niedostatecznie doświadczonego” i polecił mu czekać na następnych naczelników.

19 marca, przed wyruszeniem poza graniczny kordon, napisał Zaliwski listy: do żony, do Ludwika Oborskiego, Worcella i Wincentego Tyszkiewicza. Tytus Horoch miał je doręczyć Tyszkiewiczowi z prośbą o wysłanie ich do Francji. Dziwi nas to, że Zaliwski nie napisał do Joachima Lelewela, oczekującego z troską wieści o „żurawiach”. Listy zawiadamiały bliskich Zaliwskiego o tym, że przekracza on granicę i przyśle dalsze polecenia. Małżonkę prosił Zaliwski o przyjazd do Galicji. Prośbę swą ponowił jeszcze i później.

Potem twórca powstańczego planu i przysły wódz przygotowywał się do wymarszu. Onufry Horodyński udał się wcześniej nad San, żeby przysposobić przewóz. Wieczorem trzeciego dnia po przybyciu Zaliwskiego i Dmochowskiego do Zbydniowa, Zaliwski sam przeniósł przysłaną przez Tyszkiewicza broń i amunicję z zajmowanego przez siebie pokoju do bryczki. Umieszczono w niej też na pewno otrzymane zapasy żywności. Przed wyjściem ubrano partyzantów, według słów Franciszka Nożyńskiego, w „sukienne czamarki”, czyli brązowe sukmany i odpowiednie do nich czapki noszone przez chłopów – Lasowiaków, mieszkańców terenów dawnej Puszczy Sandomierskiej. A. Barszczewska podaje, że w te sukmany organizatorzy oddziałów partyzanckich z Galicji Zachodniej ubierali wszystkich powstańców. Partyzanci z jednego oddziału mieli posiadać czamary, koszule i czapki jednakowego koloru, żeby wyglądali jednolicie. Trudno sobie jednak wyobrazić, jak mieli oni spędzać w tych koszulach i sukmanach marcowe, zimne jeszcze noce i dni, wędrując po lasach i polach. Wyruszając na wyprawę, nie myśleli jednak o tym. W Zbydniowie sześciu partyzantów poszło piechotą nad San. Zaliwski wziął dubeltówkę Horodyńskiego i mówiąc, że udaje się na polowanie, wsiadł z Dmochowskim i Bogusławem Horodyńskim na bryczkę. Pojechali w miejsce, gdzie czekał Onufry Horodyński. Przybyli tam już Tytus Horoch, Jerzy Lubomirski i partyzanci.

Trudno jest dzisiaj miejsce to bliżej określić. Położone było ono jednak w pobliżu Zbydniowa, może pod wsią Brzoza. Wszyscy zebrani zostali przewiezieni przez szeroką i groźną o tej porze roku rzekę San. Na drugim jej brzegu czekał na nich Walenty Flis, gajowy z Brzozy, ściągnięty przez Horocha dla przeprowadzenia oddziału przez granicę Galicji i Królestwa Polskiego. Zaliwski i Dmochowski pożegnali się z Horodyńskim i ich przyjaciółmi, którzy wracali do domów z myślą o organizowaniu pomocy dla następnych naczelników okręgowych i ich żołnierzy. Sami ruszyli ku granicy na czele siedmioosobowego (z przewodnikiem) oddziału. Przeszli ją szczęśliwie pod osłoną nocy. Miało to miejsce w noc

z niedzieli na poniedziałek, na trzy tygodnie przed Świętami Wielkanocnymi. Powstanie płk. Józefa Zaliwskiego było, jak zapisał Seweryn Goszczyński – „na wybuchu”.

II. PRZEBIEG POWSTANIA PŁK JÓZEFA ZALIWSKIEGO

Partyzantkę zainicjowaną przez Józefa Zaliwskiego, pierwszy polski ruch narodowowyzwoleńczy po Powstaniu Listopadowym, rozpoczęły w nocy z 19 na 20 marca 1833 roku tylko dwa oddziały powstańcze: oddział tegoż pułkownika oraz oddział mjr. Kaspra Dziewickiego. Przedostały się one do Królestwa Polskiego z cyrkułów rzeszowskiego i tarnowskiego w Galicji Zachodniej i nie podejmując nawet walki z siłami zaborczymi, uległy rozbiciu.

Trochę później wyruszyły jeszcze poza granicę Kongresówki trzy następne oddziały: oddział Edwarda Szpeka i Stefana Giecołda, oddział Leopolda Białkowskiego i oddział Feliksa Łubieńskiego. Dwa ostatnie oddziały stoczyły potyczkę z wrogiem, lecz nie odniosły sukcesu i musiały się wycofać.

Z Galicji Wschodniej udały się na Podole i Wołyń oddziały Michała Borejki – Chodźki i Józefa Duckiego. Oficerowie ci, dowiedziawszy się o znacznych wojskach rosyjskich stojących nad granicą Rosji i Turcji, unikali starcia i powrócili bez strat do baz wyjściowych.

„Żurawie” przybyłe do Wielkiego Księstwa Poznańskiego przedostały się z niego do Polski Kongresowej pojedynczo i dopiero tam łączyły się ze sobą. Z oddziałów tych znane są oddziały braci Faustyna i Walentego Sulimierskich oraz Leopolda i Kazimierza Potockich, oddział Dornfelda i Bojarskiego oraz oddział Kaliksta Borzewskiego i Artura Zawiszy. Na ziemi litewsko-białoruskiej powstanie miał wznieść kpt. Michał Wołłowicz. Członkowie wyżej wymienionych, niekiedy bardzo małych oddziałów, byli w połowie oficerami z niedawnej armii Królestwa Polskiego, w połowie zaś jej szeregowymi żołnierzami oraz młodocianymi ochotnikami pochodzenia chłopskiego, mieszczańskiego i inteligenckiego, pragnącymi walczyć o wolność ojczyzny. Zgotowali sobie tragiczny los, lecz ich imiona i nazwiska zostały zapisane na kartach historii.

W Galicji Wschodniej organizowało się jeszcze wówczas kilka oddziałów. Nie wiadomo, dlaczego nie weszły one w oznaczonym czasie w granice imperium rosyjskiego. Miały zamiar uczynić to nieco później. Przeszkodził temu sam J. Zaliwski, który w czasie partyzanckiej tułaczki szybko się załamał, powrócił do zaboru austriackiego i odwołał wyprawę. Powstanie pułkownika Zaliwskiego

mogło być się bardziej rozwinąć i posiadać większy zasięg, nie mogło jednak stać się powszechne i zwyciężyć.

Ziemie polskie zaboru rosyjskiego ścisłały kleszcze okrutnej przemocy, a car Mikołaj I gotowy był stłumić bezwzględnie i krwawo każdą podjętą na nich próbę „bandyckich zaburzeń”. Szpiedzy rosyjscy, tak liczni w krajach Europy Zachodniej, już w 1832 r. powiadomili carską policję o rewolucyjnym planie niektórych polskich demokratów z Wielkiej Emigracji. Władze francuskie, nie zorientowane wcale o wojnie z Rosją, a przeciwnie zabiegające o jej względy, w lutym następnego roku przesłały do Petersburga listy emigrantów opuszczających Francję w najbliższych miesiącach. Trochę wiadomości o przyszłym poruszeniu uzyskali Rosjanie dzięki cenzurze listów od wychodźców do krewnych. Wskutek tego okólnik centralnych organów policyjnych z dnia 16 stycznia 1833 r. nakazywał wszystkim tego rodzaju organom terenowym w Królestwie Polskim wzmóc czujność na granicach, zwiększyć kary za nielegalne ich przekroczenie, pomnożyć chłopskie stráže bezpieczeństwa, kontrolować czynności mieszkańców, rewidować lasy i pustkowia w poszukiwaniu „złoczyńców i wywrotowców”, ludzi obcych, podejrzanych i niepewnych. Ludność polską uprzedzono, że każdy, kto zatai miejsce ukrywania się „szajki” lub udzieli jej pomocy, zostanie oddany pod sąd i zesłany na katorgę. Trochę później wprowadzono stan wojenny. Zarządzenie to wzmocniło terror panujący na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego i strach gnębiący mieszkańców. Wywoływało to różne ich postawy wobec partyzantów – „zaliwszczyków”.

Większość Polaków i Litwinów darzyła podziwem i sympatią tych młodych bohaterów, występujących jako kłujący cierń przeciwko masie olbrzyma, odczuwała poczucie więzi narodowej z nimi i nieśmiało udzielała im pomocy, chociaż groziło to tak surową karą. Byli też jednak rodacy zbyt posłuszni wobec zaborczej władzy, denuncjatorzy i renegaci, oddający bez skrupułów w ręce rosyjskie powstańców – tułaczy, członków małych oddziałów partyzanckich, pragnących wznowić wielką walkę o wolność ojczyzny.

III. ODDZIAŁY

1. Próba zorganizowania oddziału Eismonta Oddziały zaliwszczyków w Galicji Wschodniej

W Galicji Wschodniej, w pobliżu Lwowa i dalej w cyrkule brzeżańskim, czortkowskim i złoczowskim, zebrała się w marcu 1833 r. pewna liczba naczelników okręgowych. Przybyli oni przez Galicję Zachodnią, przy pomocy zamieszkałej tam szlachty, w tym na pewno Wincentego Tyszkiewicza. Powstańcy gromadzili

się w Laszkach u Eugeniusza Ulatowskiego, Lubieniu u Ludwika Jabłonowskiego, Drewlanach u Marcina Zamoyskiego, Rzepniowie u Hermana Dzieduszyckiego i w Kudryńcach – majątku Justyna Modzelewskiego, a może i w innych miejscowościach.

Laszki wyglądały, według zapisów Seweryna Goszczyńskiego, jak całe koszary. W nich założyli swoją kwaterę płk Franciszek Bobiński – okręgowy równieński, mjr Karol Borkowski – okręgowy kowelski, Michał Borejko – Chodźko, Józef Glejnich i inni. Z tych oficerów oddział sformował tylko w przepisany czas Michał Chodźko, okręgowy słucko-piński i wyruszył z nim na Wołyń. Tam, podobnie jak na Podolu, walka partyzancka była trudna z powodu małej ilości lasów i może to wstrzymywało „żurawi” Bobińskiego, Borkowskiego i innych od spełnienia zobowiązania.

Kpt. Józef Ducki zebrał oddział w Kurdyńcach. Współorganizował go Aleksander Białynia-Chołodecki, krewny późniejszego historyka Józefa, a weszli do niego kpt. Franciszek Łoniewski, Leon Małobędzki, Skorytowski, Karol Stawicki i inni. Oddział wyruszył w przepisany czas na Podole i spędził tam trzy tygodnie. Unikał jednak starcia z Rosjanami i szlak jego wędrówki nie został opisany. Ducki starał się podobno wciągać do antyrosyjskich działań miejscową szlachtę, ona jednak była bardzo konserwatywna i ostrożna. Ostrzegano też Duckiego, że niedaleko przy granicy z Turcją stoi wielka armia carska i wszelkie działania zbrojne są tu niemożliwe. Ciekawe jest, że i tak udało się Duckiemu przebywać przez trzy tygodnie na podolskiej ziemi i nie zostać zauważonym.

Podobnie Michał Borejko-Chodźko też jakoś spokojnie „przeleciał Wołyń” i wrócił do Laszek. Tam Bobiński i Borkowski nadal wybierali się wyruszyć na wyprawę, aż doczekali się w końcu kwietnia przybycia Józefa Zaliwskiego z partyzanckiej wędrówki w Królestwie Polskim i odłożenia akcji rzekomo do wiosny 1834 r.

Mjr Stanisław Macewicz – okręgowy zasławski i Święcicki – okręgowy płaskirowski też niby organizowali oddział w Rzepniowie, ale zwlekali z wymarszem i pozostali na miejscu. W Lubieniu organizował oddział mjr Jerzy Buharyn, znany oficer i aktywny później spiskowiec, niezwiązany z Zaliwskim, ale też nie przekroczył granicy.

Wkrótce gospodarze „żurawi” i sami „żurawie” a wśród nich, jak już wiemy i płk Józef Zaliwski, powstańczy wódz, musieli się ukrywać przed Austriakami. W większości dostali się w ich ręce, często przeżywając w nich tragiczne chwile. Znajdowali śmierć nie od kuli czy stryczka, lecz od chorób i psychicznego załamania się w kazamatach więziennych. W czasie, gdy ich ujmowano, partyzantkę pod imieniem J. Zaliwskiego i „Zemsty Ludu” usiłowali

prowadzić nieliczni namiestnicy okręgowi w Wielkim Księstwie Poznańskim oraz kpt. Michał Wołowicz na Wileńszczyźnie.

2. Oddział płk. Józefa Zaliwskiego

Wiemy już, że oddział ten powstał we wsi Zbydniów, niedaleko Sandomierza i Tarnobrzega, przy pomocy braci Horodyńskich, Lubomirskich i Tyszkiewiczów. W skład jego weszli: Zaliwski jako dowódca, Henryk Dmochowski, lat dwadzieścia trzy, na razie adiutant i zastępca dowódcy, pięciu wojskowych z byłej armii polskiej, bliżej nieznanymi, Marcin Kozłowski, Krokowski, Józef Franciszek Nożyński, Jan Onaś i Polewski. W oddziale był też Michał Fiodorow, lat dwadzieścia sześć, Rusin syn właścicieli spod Łucka w guberni żytomierskiej, który zapewne znał wcześniej Wincentego Tyszkiewicza, był w 1831 r. żołnierzem rosyjskim. Wzięty przez Polaków do niewoli, przeszedł na ich stronę. Został on, według Kazimierza Skowrońskiego, woźnicą Tyszkiewicza, przybył z nim do Kolbuszowej, a teraz chciał wrócić z partyzantami w rodzinne strony. Płk Józef Zaliwski nie dążył w Zbydniowie do stworzenia większego oddziału, pozostawiając to naczelnikom okręgowym. Sam uważał się za głównego dowódcę partyzantki i przedstawiciela organizacji utworzonej pod nazwą „Zemsta Ludu”. Zaliwski utożsamiał siebie z tą organizacją i chciał, żeby te dwa słowa ujęte w cudzysłów stanowiły i jego pseudonim.

Według zeznań Stefana Giecołda był on w chwili wyruszenia na upragnioną wojnę partyzancką wysokim i szczupłym mężczyzną lat około trzydziestu pięciu, o okrągłej twarzy, włosach ciemnoblonde i oczach piwnych. Nie posiadał wąsów, lecz niewielkie bokobrody, a wyraz twarzy miał przyjemny, chociaż posępny. Nosił długi, ciemnoszary, zwykły surdut. Giecołd nie wiedział tego, ale J. Zaliwski nie czuł się na pewno jeszcze całkiem zdrowy po przebytej niedawno chorobie.

Skromny oddział powstańczego wodza ruszył po przebyciu granicy razem z przewodnikiem w kierunku Janowa Lubelskiego. Jego szlak i dzieje znamy z zeznań Zaliwskiego złożonych w austriackim śledztwie oraz z prac H. Naglerowej, L. Zalewskiego i A. Barszczewskiej. Po przejściu granicznego kordonu pułkownik starał się odejść od niego jak najdalej, niezauważony przez strażę. O świcie oddział przybył pod jakąś wieś i zatrzymał się w lesie. Tu J. Zaliwski odprowadził przewodnika, dzielnego Walentego Flisa, mającego przeprowadzić do Królestwa jeszcze inne oddziały partyzanckie z Galicji Zachodniej. Tę służbę ojczyźnie przypłacił on później przedwczesną śmiercią w więziennej celi.

Tymczasem J. Zaliwski powtórzył towarzyszom, co jest celem wyprawy, na którą się wybierają, odczytał im tekst artykułów

partyzanckich i przysięgi. Tej nie odbierał jednak jeszcze od nich, dając im czas do namysłu co do udziału w trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciu. Potem partyzanci posilili się wziętymi ze Zbydniowa zapasami. Wkrótce przyszedł do lasu jakiś włościanin, by zbierać drzewo. J. Zaliwski poczęstował go wódką i dowiedział się od niego, że posterunek we wsi liczy dziesięciu Kozaków. Przebywa tu również dwóch byłych żołnierzy polskich. Zaliwski nie chciał zaczepiać żołnierzy z posterunku, żeby nie robić alarmu przy granicy, chłopca zaś poprosił o przyprowadzenie do lasu byłych wojskowych. Mężczyźni przyszli i jeden z nich, nieznany z nazwiska, zgodził się pod wpływem słów Zaliwskiego przyłączyć do jego oddziału. Oddział udał się przez lasy, nie wiadomo czy w dzień, czy pod wieczór, do Janowa. Ukrywał się wśród krzewów i drzew przed krążącymi kozackimi patrolami konnymi. Podchodząc do wsi, partyzanci wypytywali się, ilu jest w niej Kozaków. Na drugą noc oddziałek Zaliwskiego zatrzymał się w lesie niedaleko od Janowa. Był to dla jego członków dopiero początek mordęgi wśród zimna, głodu, ciemności i niepewności przed wrogiem. Trzej partyzanci – osłabły Krakowski, Jan Onaś i nieznajomy żołnierz, dopiero przybyły do oddziału, mieli już tego dosyć i tej nocy pod Janowem opuścili potajemnie towarzyszy, pozostawiając broń. Rano Zaliwski mówił pewnie coś na ten temat pozostałym wojskowym, a oni zapewnili go, że chcą iść dalej razem z nim. Wtedy, w dniu 21 marca, Józef Zaliwski odebrał od nich przysięgę powstańczą. Widocznie członkowie oddziału rozmawiali ze sobą więcej, bo później jeden z nich zeznał przed sądem, że Zaliwski i Dmochowski mieli zamiar dostać się na Litwę, a nawet i do Petersburga i zabić cara Mikołaja I. Zaliwski myślał o przebicciu się do Warszawy, kierował jednak oddział na wschód, do Krasnystawu, skąd, jak sądzą historycy Zaliwsczyzny, ruszył ku Puszczy Białowieskiej.

Trzeciego dnia wędrówki, za Janowem, Zaliwski postanowił zaalarmować Rosjan. Kazał jednemu ze swoich wystrzelić do jadaących przez las trzech Kozaków: oficera i dwóch żołnierzy. Żaden z zaatakowanych nie został ranny, ale wpadli do Janowa, robiąc wielki ruch. Wskutek tego rosyjscy dowódcy z tego miasta ściągali do niego swoje oddziały z sąsiednich wsi. Przed tym jeszcze Zaliwski dowiedział się, że w jednej z wsi stacjonujący w niej Kozacy poszli do karczmy, pozostawiając broń na kwaterze w prywatnym domu. Wyruszył z dwoma ludźmi do tego domu i zabrał trzy karabiny oraz trochę amunicji. Obecnej przy tym kobiecie powiedział, że może podnieść krzyk dopiero, gdy oni oddalą się o jakieś pięćset metrów. Fakt ten znowu poruszył Rosjan, ale oddział Zaliwskiego kierował się już naprzód w stronę Modliborzyc i Zdziłowic pod Batorzem. Jego członkowie wstępowali pojedynczo lub po dwóch

do spotkanych karczm w celu kupienia żywności, zrobienia wywiadu, a także agitowania na rzecz partyzantki i szukali polskich wojskowych dla powiększenia swojego grona.

Niestety, chłopci w całej swojej masie byli obojętni wobec powstańczych haseł i często odnosili się wrogo do partyzantów – buntowników. W Zdziłowicach w dniu 28 marca grozili odprowadzeniem do wójta. Ustąpili jednak wobec zdecydowanej postawy przybyszy. W Wierchowiskach przyłączył się do oddziału Zaliwskiego były żołnierz, Mateusz Serwatka. Potem uczynili to jeszcze inni, ale oddział ten nigdy nie przekroczył liczby dziesięciu osób. Pozyskani przypadkowo partyzanci szybko męczyli się i zrażali do leśnej tułaczki. Nie wytrzymywali na ogół ani trzech dni i najczęściej odchodzili potajemnie. Mateusz Serwatka też zaraz się odłączył. Później Rosjanie dowiedzieli się, że przystał do „bandyckiej szajki” i aresztowali go. Zeznał on przed sądem, że przyszedłszy do lasu, zobaczył „bandę” siedmiu czy ośmiu mężczyzn ubranych po włościańsku i dużo dwustrzałowych strzelb stojących pod drzewami. Co do ilości strzelb Serwatka na pewno przesadzał.

Zaliwski, Dmochowski, Fiodorow, Kozłowski, Nożyński i Polewski przeszli przez rzekę Wieprz pod Łopiennikiem i pomaszerowali w stronę Lublina. W drodze niekiedy wymieniali strzały z patrolami, jak na przykład w okolicy Fajslawic. 6 kwietnia, w Wielką Sobotę, znaleźli się pod miasteczkiem Piaski Litewskie niedaleko od Lublina. Zaliwski dowiedział się, że stacjonuje tam batalion piechoty, lecz potrzebował żywności i posłał po nią, jeszcze w dzień, dwóch ludzi do miasteczka. Mieli oni też dowiedzieć się, jak Rosjanie są zakwaterowani, bo Zaliwski chciał znowu w nocy ich zaalarmować. Wysłani żołnierze zrobili zakupy w karczmie Franciszka Gordyckiego i wrócili w podmiejskie krzewy, gdzie czekał na nich Zaliwski z resztą oddziału. Zostali jednak spostrzeżeni przez pastuchów, którzy dali znać do Piasków. Tam Rosjanie uderzyli w bębny, poderwali batalion, otoczyli miejscowość i zawiadomili władze w Lublinie, że zauważyli uzbrojonych ludzi. Lubelska policja i dowódcy wojskowi zaczęli po dwóch dniach robić obławy „na złoczyńców”. Rosjanie posiadali już wtedy wiadomości o partyzantach przybyłych z Francji do Królestwa Polskiego. Informacje te pochodziły od schwytanych członków oddziału mjra Kaspra Dziewickiego, który przekroczył granicę równocześnie z oddziałem Józefa Zaliwskiego i udał się w Kieleckie. Tu uległ rozbiciu, a kilku jego członków wpadło w ręce rosyjskie. Władze z Lublina podjęły gorączkowe poszukiwania „bandytów”. Wojsko przetrzaśało drogi, podejrzane domy i mniejsze lasy. Udział w obławach brały ściągnięte gromady chłopów.

Oddział Zaliwskiego spędził Święta Wielkanocne,

przypadające zdaje się 7 i 8 kwietnia, w lasach w rejonie Piasków. Zaliwski dowiedział się o tragicznej śmierci przyjaciela – Kaspra Dziewickiego i bardzo go to wydarzenie zasmuciło, a nawet, jak twierdzi A. Barszczewska, załamało. Do załamania przyczynił się też fakt, że wróg w całym Królestwie Polskim był już zaalarmowany, nie doszło też do wybuchu żadnej wojny i rewolucji europejskiej, a Egipt i Turcja zawarły pokój. Ponadto wyznaczeni przez Zaliwskiego naczelnicy okręgowi nie przybyli w porę na swoje stanowiska, a rodacy wcale nie podrywają się na widok jego i jego oddziału do powstania. Prawdopodobnie właśnie w okolicy Piasków Litewskich Józef Zaliwski postanowił zaprzestać na razie partyzantki, odłożyć ją do następnego roku i powrócić do Galicji. Pewnie pod Lublinem rozpoczął on demobilizować posiadany oddział. Mówił w zeznaniach, że kazał dwóm towarzyszom przepłynąć się przez Wisłę i udać się przez województwo mazowieckie ku Toruniowi, donosić spotkanym po drodze okręgowym o odroczeniu powstania i zalecać powrót do Galicji lub Prus. Według A. Barszczewskiej polecenie to otrzymali Kozłowski i Polewski. Wykonali je, odchodząc od oddziału, nie wiadomo jednak, co później z nimi się stało. Wszelki śluch o nich zaginął.

Pomniejszona grupa posuwała się jeszcze w kierunku rzeki Bug. Wkrótce Zaliwski pozbył się dwóch ostatnich żołnierzy. Wiedząc, że Michaił Fiodorow chciał wrócić w rodzinne strony pod Łuckiem na Wołyniu, partyzancki dowódca powiedział mu, żeby udał się tam, zabrał ze sobą Franciszka Nożyńskiego i po drodze znowu zawiadomił okręgowych o wstrzymaniu akcji. Postanowiwszy to, Zaliwski i Dmochowski zostawili tych dwóch mężczyzn śpiących w lesie, jak zeznał później Nożyński, a podaje H. Naglerowa i sami ruszyli dalej. Fiodorow i Nożyński schronili się do stodoły Jana Kniezia, wieśniaka ze wsi Borowica niedaleko od Piasków. Spędzili oni tam tylko jeden dzień. W nocy z 10 na 11 kwietnia zostali znalezieni przez oddział kozacki i zabrani razem z Knieziem. Stanęli przed sądem, ponieśli karę, ale zachowali życie.

Zaliwski w jednym z zeznań oświadczył, że spod Lublina poszedł jeszcze z Dmochowskim aż do miasta Garwolina pod Warszawą. Widząc dużą ilość rosyjskiego wojska i ogólne poruszenie, wrócili się stamtąd i przez Żelechów, Kock, Krasnystaw, Tomaszów Lubelski dotarli z powrotem do Galicji. Wyprawa Zaliwskiego do Garwolina nie jest dobrze udokumentowana i historycy Zaliwscy uważają, że on i Dmochowski cofnęli się do zaboru austriackiego już z Lubelszczyzny.

Marsz oddziału Józefa Zaliwskiego ku ziemi lubelskiej trwał całe dwadzieścia dni oraz nocy i był jednym pasmem udręki. Droga powrotna zajęła dwóm ostatnim jego członkom dziesięć dni.

Wędrowcy z trudem zdobywali pożywienie, kryli się przed patrolami, stróżami, obławami. Nie wiadomo, gdzie i w jaki sposób rozstali się z bronią, ale po całym miesiącu partyzanckiej tułaczki dotarli szczęśliwie, idąc od Tomaszowa koło Narola, do granicy galicyjskiej i przeszli ją w nocy z 20 na 21 kwietnia. Zaliwski i Dmochowski nie rozpalili w Królestwie Polskim „leśnej” wojny, nie poderwali jego mieszkańców do walki, wrócili do Galicji, tym razem do Galicji Wschodniej, bez sukcesów, satysfakcji i chwały. Byli jednak osobiście wolni, swobodni, podczas gdy tak wielu zwerbowanych przez nich naczelników okręgowych i zwykłych partyzantów dostawało się w tym czasie do niewoli rosyjskiej i często znajdowało męczeńską śmierć. Józef Zaliwski nie przejmował się zbytnio tym, że za wcześnie zrezygnował z podjętej przez siebie partyzantki. Pocieszał się myślą, że odkłada dywersję do następnego roku albo innej, bardziej stosownej chwili.

Przeszedłszy granicę, Zaliwski i Dmochowski wynajęli furmankę i przyjechali przez Potulice i Żółkiew koło Lwowa. Podając się za Galicjan Bobolewskich, zatrzymali się w oberży Lanerego. Henryk Dmochowski posiadał niedaleko stąd kuzyna, Hipolita Dmochowskiego, właściciela wsi Niedzieliska w cyrkule brzeżańskim i miał nadzieję znaleźć u niego oparcie. Przez najbliższe dwa miesiące przebywał on jednak nadal u boku Zaliwskiego. Ten zaś zaraz trafił do lwowskich współpracowników Wincentego Tyszkiewicza: Augusta Bielowskiego i Eugeniusza Ulatowskiego ze „Związku Bezimiennego” i Ludwika Jabłonowskiego. W podlwowskich miejscowościach: Laszkach Ulatowskiego i w Lubieniu Jabłonowskiego byli zebrani różni naczelnicy okręgowi i przygotowali się dopiero do spóźnionego wymarszu poza rosyjski kordon graniczny. Zaliwski wstrzymał ich – rzekomo do przyszłego roku.

Prawdopodobnie wówczas odbyło się w Lubieniu wspomniane już na początku tego rozdziału spotkanie Józefa Zaliwskiego z kilkoma okręgowymi m. in. Franciszkiem Bobińskim, Karolem Borkowskim, Majewiczem, Stankiewiczem i innymi oraz z Julianem Ordonem, wysłannikiem Towarzystwa Demokratycznego. Tam to Zaliwski, po długim milczeniu, krażeniu po pokoju i zaciąganiu się tytoniowym dymem, powiedział wreszcie – „cóż teraz”. Teraz Zaliwszczycy i w ogóle imigranci musieli schodzić z oczu władzom austriackim, które zawiadomione przez rząd carski o przekradaniu się „bandyckich szajek” z Galicji i Prus do Królestwa Polskiego, były zobowiązane zając wobec tego odpowiednie stanowisko. Rozpoczęto poszukiwania twórców i przywódców partyzantki, dążąc do pozbycia się przy tej okazji z Galicji wszystkich elementów napływowych. Jako pierwszy został przez Austriaków aresztowany

w Nawarii w dniu 25 kwietnia Wincenty hr. Tyszkiewicz. Osadzono go w więzieniu, w pokarmelickim budynku we Lwowie.

Zaraz po tym wydarzeniu Eugeniusz Ulatowski ukrył Zaliwskiego i Dmochowskiego u swojego krewnego, Stanisława Grochowskiego, dziedzica wsi Głuchowice w cyrkułe lwowskim. W Głuchowicach w czerwcu 1833 r. Zaliwski, używający nazwiska Czarnomski, napisał odezwę do szlachty galicyjskiej. Głosiła ona, że celem podjętej w Królestwie partyzantki była walka przeciwko znieprawionemu carowi Rosji, a nie przeciw żadnemu innemu państwu. Zaliwski wspominał, że uważa władcę Austrii za sprzymierzeńca Polaków i myślał nawet, w razie sukcesu antyrosyjskiego powstania, o przyłączeniu Królestwa Polskiego do Galicji. Odezwę tę oddał przybyłemu do Głuchowic Kazimierzowi hr. Dzieduszyckiemu, obywatelowi ziemskiemu z Rzepniowa w cyrkułe złoczowskim, gdzie też przebywali jacyś „żurawie”. Dzieduszycki miał przekazać ją współrodakom i urzędnikom w Galicji. Zaliwski sądził, że ta odezwa zabezpieczy go przed prześladowaniem ze strony Austriaków. Mylił się jednak. Władze austriackie solidaryzowały się z caratem w zwalczaniu polskich buntowników, uznając, że działali oni na szkodę wszystkich trzech państw zaborczych, bo wyzwolenie jednej z polskich prowincji pociągałoby za sobą sprawę wyzwolenia innych. Poszukiwano więc Zaliwskiego, wszystkich emisariuszy i podejrzanym emigrantów.

Józef Zaliwski zmieniał miejsce pobytu w szlacheckich domach. W lipcu przebywał u Karola Grochowskiego, brata Stanisława, w Wojciechowicach, potem był u Karola Prytyki we wsi Tuczna koło Przemyślan w cyrkułe brzeżańskim. Tam został aresztowany w dniu 19 sierpnia 1833 r. przez austriacką policję i przewieziony do więzienia w budynku po klasztorze OO. Karmelitów we Lwowie. Zaliwski przypuszczał, według słów J. Białyni-Chołoddeckiego, że wydał go szlachcic zazdrosny o żonę. Za naszym bohaterem zamknęły się na długie lata drzwi więziennych kazamat. Czekwały w nich na niego wielomiesięczne przesłuchania, proces i okrutny wyrok. Choroba i dręcząca samotność strawiły jego zdrowie i siły. Poświęcił je ojczyźnie.

Henryk Dmochowski opuścił Zaliwskiego w lipcu wyżej wymienionego roku w Wojciechowicach. On też tułał się na Podolu i Bukowinie, próbował prowadzić dalej działalność spiskową oraz rozpowszechniać idee przyświecające demokratom z Wielkiej Emigracji i zaliwsczykom.

Tymczasem władze austriackie również prowadziły dalej swoją pracę. Zaczęły między innymi podburzać chłopów przeciwko szlachcie, głosząc, że cesarz Austrii chce dla Polaków wszelkiego dobra, zaś szaleni partyzanci, ukrywający się po dworach, lasach

i polach, buntują ludzi przeciwko niemu, mają spokój publiczny, chcąc wywołać wojnę i przelew krwi. Obiecywano premie pieniężne dla tych włościan, którzy złapią wyrotowców i odstawią do cyrkułu. Stwierdzenia te nie pozostawały bez echa. Pod ich wpływem Matwiej Hałajko, Mateusz Kłosowski, Franko Brzeszcz i inni chłopci ze wsi Kopań koło miasteczka Świerz w cyrkułe brzeżańskim, schwycili nieznanego im podróżnego jadącego na koniu bocznymi drogami koło ich pól, pobili go i odstawili, pomimo jego próśb o puszczanie do cyrkułu w Brzeżanach. Był to szlachetny, przezacny Henryk Dmochowski, niezłomny bojownik o wolność Polski. Na próżno błagał ciemnych włościan o nie zatrzymywanie go, oddawał im konia, posiadane pieniądze, mówił, że ludzie powinni sobie pomagać, a on stara się o polepszenie chłopskiej doli. Słuszne słowa dzielnego szlachcica nie zdały się na nic. Wnet i on znalazł się we lwowskim więzieniu, gdzie spotkał się znowu z Józefem Zaliwskim.

3. Powstańcza wędrówka kpt. Antoniego Winnickiego

Jednym z pierwszych naczelników okręgowych Józefa Zaliwskiego przybyłych na ziemię polskie zaboru pruskiego z zamiarem udania się do Królestwa Polskiego i podejmowania w nim walki z władzami rosyjskimi, był kpt. Antoni Winnicki. Dotarł on na Śląsk razem z przyjaciółmi: kpt. Adamem Piszczatowskim i por. Faustynem Sulimierskim już na początku marca 1833 r. Zaraz rozstał się z nimi i, nie starając się zobaczyć z kpt. Antonim Krąkowskim, organizatorem partyzantki w Księstwie Poznańskim, przekroczył granicę rosyjską. Podażył ku rodzinnym stronom, ponieważ jego szlachetne serce opanowane było zarówno wielkim pragnieniem służenia sprawie wolności ojczyzny, jak i tęsknotą za żoną i małym dzieckiem i chęcią zobaczenia ich.

Antoni Winnicki liczył, że oddział partyzancki utworzy sobie wspólnie z kolegami, sąsiednimi okręgowymi, głównie z Arturem Zawiszą, już na swoim terenie. Przybył jednak na ten teren za wcześnie, nie zastał na nim jeszcze partyzantów, sam zaś nie posiadał odwagi werbowania oddziału, zakłócania istniejącego spokoju wśród rodaków i rozpoczynania akcji powstańczej. Dla odwiedzenia domu i poszukiwania Zawiszy odbył długą mozolną wędrówkę po Mazowszu i Kujawach, gdzie miał być okręgowym. Stał się zwiastunem i propagatorem planu Zaliwskiego i „złoczyńcą” dla przeciwników. Nie wiemy, czy postępował tak ostrożnie, jak należało i co było bezpośrednim powodem ujęcia go przez Rosjan. Został jednak ujęty po miesiącu tułaczki, przesłuchany i rozstrzelany.

Drogę życiową Antoniego Winnickiego, a zwłaszcza jej ostatni etap, możemy odtworzyć dzięki jego zeznaniom złożonym

po aresztowaniu przed Warszawską Komisją Śledczą, powołaną do badania zaliwzczyków, na której czele stanął generał – policmajster Andrzej Storożenko. Zeznania zostały opublikowane w roku 1984 w przytaczanej tu już nie raz pracy historyków polskich i radzieckich pt. „*Spółczesność polskie i próby wznowienia walki zbrojnej w 1833 r.*”

Antoni Winnicki urodził się w 1800 r. w rodzinie szlacheckiej w Kłodawie. Po piętnastoletniej nauce w Kłodawie, Łęczycy i Bydgoszczy, wstąpił w końcu 1814 r. do armii Królestwa Polskiego. Przydzielono go do 2 baterii lekkiej artylerii konnej, stacjonującej w Piątku na południe od Kutna. W 1818 r. wysłano go do Szkoły Artylerii w Warszawie, gdzie odznaczył się pilnością i zacnością charakteru. Dostał za to prawo noszenia srebrnego felcecha, paska przez ramię służącego do noszenia krótkiej broni. W 1820 r. otrzymał stopień podporucznika i skierowanie do dwuletniej Szkoły Aplikacyjnej, a następnie do pracy w Kompanii Rzemieślniczej Dyrekcji Artylerii. Kompania zajmowała się naprawianiem uszkodzonej broni artyleryjskiej.

W 1829 r. Antoni ożenił się z Teklą Mierosławską, stryjeczna siostrą Ludwika Mierosławskiego, znanego później polskiego generała i działacza niepodległościowego. Tekla pochodziła z majątku Lubrańczyk położonego pod Lubrańcem na Kujawach. Wobec choroby teścia Winnicki musiał poprosić o dymisję z wojska i zająć się gospodarstwem rolnym. W listopadzie 1830 r. Tekla Winnicka urodziła dziecko, a w kilka dni później, 4 grudnia, Antoni Winnicki dowiedział się o wybuchu rewolucji w Warszawie. Winnicki bardzo kochał żonę i cieszył się z przyjścia na świat dziecka, lecz był żołnierzem. Pragnął służyć ojczyźnie i walczyć o jej wolność. Na wieść o powstaniu pojechał zaraz do stolicy i prosił Komisję Wojny, czyli Ministerstwo Spraw Wojskowych o przyjęcie go do pułku liniowego, mającego udać się na front. Komisja poleciła mu jednak wrócić do Kompanii Rzemieślniczej, a wkrótce potem nakazała mu organizowanie, we współpracy z Egidiuszem Colletem, właścicielem najlepszej warszawskiej fabryki broni na Powązkach i innymi, nowych jej wytwórni. Winnicki założył zaraz fabrykę broni w koszarach po gwardii wołyńskiej, przejmował i rozwijał fabrykę grajczarków i śrubokrętów we wsi Przyborów w obwodzie piotrkowskim i tworzył fabrykę pałaszy w Radomsku. W międzyczasie trzykrotnie prosił Komisję Wojny o przeniesienie go do pułku liniowego i zrzekł się należnego mu żołdu na korzyść Funduszu Pomocy dla wdów i sierot po poległych wojskowych z artylerii. Brał udział w krótkim odpieraniu rosyjskiego szturmu, potem zaś wycofał się z baterią na północ i przeszedł z nią pod Brodnicą granicę Prus Wschodnich.

Kwarantannę odbywał w Elblągu razem z ojcem, bratem i kuzynem żony, Adamem Mierosławskim. Zdecydował się też pojechać z nimi i z innymi oficerami na emigrację do Francji, chociaż jego żona przybyła do niego i prosiła, żeby nie udawał się na obczyznę, lecz poczekał na carską amnestię, skorzystał z niej i powrócił, w razie możliwości, do domu. Antoni Winnicki wyruszył jednak na Zachód, chcąc tam czekać na pomyślną dla Polaków zmianę sytuacji i przyjść do kraju z bronią w rękę. W drodze do Paryża zapoznał się z księdzem Aleksandrem Pułaskim, rewolucyjnym demokratą i wkrótce został karbonariuszem z pseudonimem „Mazepa” i członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Potem zamieszkał w obozie wojskowym w Awinionie. Próbował szerzyć tam idee demokratyczne, lecz ich przeciwnicy występowali przeciwko niemu i psuli jego dobre imię. Sprawiało to Winnickiemu wielką przykrość. Tęsknił za rodziną i myślał, żeby uczynić to, o co prosiła go żona – pojechać do Księstwa Poznańskiego, starać się u cara o amnestię i wrócić do domu.

Tymczasem emigracyjni demokraci zdobyli dla niego pozwolenie na zwiedzenie kilku francuskich fabryk broni oraz amunicji i domagali się, żeby opracował plan zbudowania w Polsce nowoczesnej wytwórni broni palnej, siecznej i ludwisarni. W trakcie wykonywania planu, w listopadzie 1832 r., znajomy mu Kasper Dziewicki poprosił go o przyjazd do francuskiej stolicy, do mieszkania płk. Józefa Zaliwskiego. Winnicki przybył na wezwanie i pozyskany został na naczelnika okręgowego. Zaliwski roztoczył przed nim miraż powszechnej rewolucji i widok masy oficerów – emigrantów wybierających się do Polski dla „robienia powstania”.

Antoni Winnicki uwierzył w te sprawy i nie spostrzegł całego niebezpieczeństwa, jakie groziło naczelnikowi okręgowemu, każdemu partyzantowi – powstańcowi i tym, którzy mieliby im pomagać. Marzył o spokojnym powrocie do żony i dziecka, lecz przede wszystkim pragnął dobra ojczyzny. Uważał, że jako stary żołnierz musi znaleźć się wśród podejmujących walkę o jej oswobodzenie. Bardzo się bał, żeby ktoś nie nazwał go odstępcą czy zdrajcą. Zgodził się więc zostać naczelnikiem okręgowym na Kujawach, chociaż nie znał tam jeszcze szlachty. Na jego rodzinnym Mazowszu byli już wyznaczeni inni naczelnicy. Dążył do ścisłej współpracy z sąsiednimi okręgowymi: Faustynem Sulimierskim – okręgowym kaliskim, Arturem Zawiszą – okręgowym warszawsko-sochaczewskim i Leonem Zaleskim – okręgowym łęczyckim. Wybierał się do kraju oraz z przyjacielem kpt. Adamem Piszczatowskim – okręgowym białostockim. Rozmawiali z sobą we Francji o przyszłym postępowaniu, uzgadniali znajome domy w swoich okręgach, w których mogliby się spotkać albo zaczerpnąć

o sobie wiadomości, w razie gdyby inaczej się nie zetknęli. Jednym z takich domów podanych przez Winnickiego był dwór gen. Gabriela Józefa Biernackiego w Klonowie w obwodzie konińskim, a przez Zawiszę dom księdza Antoniego Ojrzanowskiego w jego rodzinnej miejscowości, Sobocie, położonej obok Piątku na Mazowszu. Winnicki umówił sobie w Awinionie kilku młodszych oficerów: Kolskiego, Kownackiego, Molsdorfa i Zaborskiego. Planowali, że wyruszą wspólnie na wyprawę organizowaną przez Zaliwskiego, lecz wspomniani towarzysze Winnickiego nie otrzymali później paszportów i pozostali we Francji.

W połowie stycznia 1833 r. Antoni Winnicki, Faustyn Sulimierski i Adam Piszczatowski, pomimo tego, iż dostali listy od Zaliwskiego, że nie ma dla nich pieniędzy na drogę, zjawili się u płk. Góreckiego w Lyonie. Tu otrzymali jednak po parę franków, paszporty na przybrane nazwiska oraz trochę trucizny na wypadek pochwycenia i wyruszyli w drogę do kraju. Posiadane fundusze pozwoliły im opłacić dylizans tylko do Szwajcarii. Potem szli piechotą przez Niemcy, chyba, że jacyś dobrzy ludzie, widząc strudzonych wędrowców, wspierali ich datkiem pieniężnym. Dzięki temu wędrowcy zebrali trochę monet, żeby znowu odbyć część drogi z landkuczerem, czyli najemnym furmanem. Jeszcze w Szwajcarii wzruszył ich jeden policjant. Sprawdził on ich paszporty, a potem zapytał się, czy jedli obiad i czy nie przyjmą obiadu od niego. Przyszli partyzanci przyjęli posiłek w oberży, nieco pieniędzy na drogę i wiadomość, że ten policjant wie, kim oni są, po co idą, i że już kilku im podobnym ułatwił podróż.

W ten sposób nasi tułacze dotarli, z pomocą ludzką, na początku marca na Śląsk, poza Wrocław, do Wartenburga, czyli Oleśnicy. Stąd mieli najkrótszą drogę i do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i do Królestwa Polskiego. Na zachód od Oleśnicy leży miasto Kępno, a za nim już na granicy prusko-rosyjskiej była miejscowość Wieruszów. Jeszcze na wschód od Wieruszowa we wsiach Sokolniki i Wielgie mieszkali kuzyni Tekli Winnickiej: Biernaccy i Psarscy. Antoni Winnicki chciał się do nich dostać. Szczęście mu sprzyjało, bo w oberży w Oleśnicy poznał szlachcica spod Kępna, Konstantego Kręskiego, dziedzica Grębanina z powiatu ostrzeszowskiego, który szukał mechanika do naprawy jakiejś maszyny rolniczej. Był to człowiek otwarty, uczynny i życzliwy. Winnicki poznał się z nim, powiedział, że zna się na maszynach i pojechał do jego domu. Faustyn Sulimierski i Adam Piszczatowski udali się do niedalekiego Domanina w Poznańskie, do stryja Sulimierskiego. Sulimierski miał stamtąd odszukać Antoniego Krąkowskiego w Poznaniu i dowiedzieć się o poczynionych przygotowaniach powstańczych.

Przybysze z Francji byli, jak wiemy, umówieni, gdzie się mogą odnaleźć. Antoni Winnicki przede wszystkim chciał się spotkać z Arturem Zawiszą – okręgowym warszawko-sochaczewskim i wspólnie z nim rozpocząć akcję powstańczą. Zawisza miał przyjechać osobno. W Grębaninie Winnicki powiedział swojemu gospodarzowi, kim jest i po co wybiera się za granicę Królestwa Polskiego. Mówił, że wielu – pewnie z pięciuset takich jak on, wybiera się do Polski, zrobić tam powstanie. Dał Kręskiemu do przeczytania tekst „artykułów partyzanckich” i przysięgi. Kręski odpowiedział, że jeżeli rzecz się uda, to Zaliwski sprawi sobie nieśmiertelne imię. Szlachcic ten wątpił w powodzenie przedsięwzięcia. Zapoznał jednak Winnickiego z dwoma szlachcicami: Bobrowskim i Rakowskim, którzy zaczęli mu pomagać. Podali oni Winnickiemu nazwiska swoich bliskich i znajomych zamieszkałych w Królestwie Polskim, gdzie zarówno on jak i jego koledzy mogli znaleźć oparcie. Jednym z tych znajomych był Julian Ujazdowski, właściciel wsi Zbijewa w Kaliskiem, były powstaniec listopadowy, który wkrótce rzeczywiście dużo pomógł Winnickiemu. Drugim był Adolf Łaczyński ze wsi Biała w Gostyńskim na Kujawach, gdzie Winnicki miał być okręgowym.

Wieczorem drugiego dnia pobytu Winnickiego u Kręskiego Rakowski zawiózł Winnickiego do Sulimierskich w Domaninie. Winnicki myślał, że Faustyn Sulimierski widział się już z Krąkowskim i dowiedział się czegoś konkretnego o przygotowaniach powstańczych. Do spotkania pomiędzy nimi jednak nie doszło i Faustyn chciał czekać u stryja na przybycie tam brata Walentego i braci Potockich. Wobec tego Winnicki też zrezygnował ze skontaktowania się z Krąkowskim i zabrał z Domanina Adama Piszczatowskiego. Ten musiał się spieszyć do swojego okręgu białostockiego. Rakowski odesłał zaraz Piszczatowskiego do Ujazdowskiego w Zbijewie – już w Królestwie Polskim, a Ujazdowski wyprawił go dalej do Łaczyńskiego na Kujawach, skąd Piszczatowski przedostał się do swojego okręgu.

Winnicki wrócił jeszcze tej samej nocy do Grębanina. Kiedy odpoczął trochę, w dniu 4 marca Kręski przeprowadził go w Wieruszowie przez granicę Królestwa Polskiego. W tej miejscowości akuratnie odbywał się jarmark i ludzie mieszkający przy granicy przechodzili ją po moście na rzece Prośnie. Kręski pokazał w wartowni swoje dokumenty, a Winnicki przeszedł granicę przy bryczce Kręskiego, jako jego służący. Kręski zawiózł jeszcze Winnickiego do Sokolnik, gdzie ten nie zastał nieznanego z imienia Biernackiego i udał się dalej do wsi Wielgie, na północ od Wielunia. W Wielgim mieszkał młody Stanisław Psarski, znajomy Winnickiego, kuzyn jego żony. Stanisław Psarski przyjął Winnickiego

uprzejmie, chociaż przyjeżdżał on nielegalnie, bez amnestii i dokumentów. Winnicki zanocował u Psarskiego z 4 na 5 marca i znowu zwierzył się mu ze swojego i swoich kolegów zadania. Liczył, że kuzyn przystąpi do ruchu. On jednak nie wierzył w możliwość wybuchu powstania oraz jego rozwoju w wyniszczonym i ujarzmionym kraju. Radził Winnickiemu z całego serca, żeby nie narażał swojego życia i albo powrócił spokojnie do Prus, albo pojechał do żony do Lubrańczyka, ukrył się tam na razie i jakoś starał się poprzez nią o amnestię. Wypytywał się też o swojego brata, Wojciecha Psarskiego, przebywającego na emigracji.

Ponieważ Winnicki powiedział, że pojedzie do żony, czyli na północ, Psarski odesłał go końmi do Lubna – wsi swojego ojca, Józefa Psarskiego, położonej w tamtym kierunku w obwodzie łęczyckim. Poleciał mu zwrócić się nie tyle do Józefa Psarskiego, co do jego ekonoma, Wojciecha Wnukowskiego, byłego powstańca listopadowego. Winnicki zajechał do Wnukowskiego, spędził u niego noc z 5 na 6 marca i poznałszy, że ten jest dobrym Polakiem i nie zdradzi go, wyjawiał mu, po co on i wielu jemu podobnych, przybywa na ziemię Królestwa Polskiego. Wnukowski odrzekł, że nie ma teraz wojska rosyjskiego w ich okolicy. Ponadto posiadał on pieczęć wójta swojej wsi i mógł wystawić Winnickiemu jakiś dokument dla wytłumaczenia się w razie zatrzymania. Winnicki sam napisał sobie na papierze, że Antoni Górski, pisarz prewentowy z Lubna, jedzie w pańskim interesie bryczką, parą koni i z woźnicą do Włocławia. Wnukowski przyłożył mu pieczęć. Potem Winnicki zastanawiał się, gdzie ma jechać. Chciał zająć się organizowaniem swojego oddziału partyzanckiego, a wcześniej spotkać się z Arturem Zawiszą i z nim współdziałać. Zawisza mówił mu jeszcze we Francji, żeby pytać się o niego u ks. Ojrzanowskiego w majątku Zawiszów Sobota, leżącym na południe od Kutna, a na zachód od Łowicza. Winnicki postanowił jechać do Soboty, ale bardzo pragnął zobaczyć i uścisnąć żonę i dziecko. Tekla Winnicka znajdowała się daleko, w Lubrańczyku pod Inowrocławiem. Winnicki myślał, że jeżeli najpierw uda się do Soboty, być może zostanie już Zawiszę i zajmie się organizowaniem powstania, nie będzie miał w związku z tym czasu na spotkanie z najbliższymi.

Ponieważ do 19 marca było jeszcze trochę czasu, Winnicki postanowił wpaść do Lubrańczyka na parę godzin i zaraz potem ruszać do Soboty. Z dokumentem Wnukowskiego i jego końmi przejechał szczęśliwie niezatrzymywany w dniu 6 i 7 marca koło Sieradza, Uniejowa, Dąbia, rodzinnej Kłodawy i Izbicy do Lubrańczyka. Starał się przyjechać tam wieczorem i wejść do domu niespostrzeżony przez nikogo. Później zeznał przed Komisją Śledczą, że z miłości dla ojczyzny walczył w Rewolucji Listopadowej,

udał się na tułaczkę, mogąc być panem u siebie, wracał do kraju, zdzierając nogi w wielokilometrowych pieszych wędrówkach, udawał rzemieślnika, służącego i skradał się pod swój dach jak złodziej. Pod tym dachem starsi domownicy jeszcze nie spali. Tekla Winnicka, jej matka i siostra najpierw bardzo ucieszyły się z przybycia męża, zięcia i szwagra. Potem tak samo zasmuciły się, gdy dowiedziały się, że przybywa on bez amnestii, tylko na kilka godzin i obowiązki wzywają go dalej. Dopytywały się, dlaczego tak dużo ryzykuje. Odpowiedział, że tak trzeba. Uściskał śpiące dziecko i położył się na spoczynek. 8 marca wstał raniutko i porozmawiał z żoną i teściową. Powiedział, że nie przybył starać się o amnestię, ale organizować razem z innymi oficerami powstanie. Na próżno kobiety prosiły go, żeby tego nie robił. Wobec jego nieustępliwej postawy pozwoliły mu robić to, co uważał za słuszne. Pani Mierosławska, teściowa, dała mu na drogę dziesięć złotych dukatów i sto złotych. Przyjął je z wdzięcznością, bo niewielkie sumy, które dostał od Kręskiego i Psarskiego, dawno już wydał. Potem Winnicki wsiadł z żoną na furmankę i pojechali do miejscowości Zbijewo w obwodzie kujawskim.

Właściciel Zbijewa, Julian Ujazdowski, bardzo szlachetny człowiek, wskazany Winnickiemu przez Rakowskiego, przyjął gości życzliwie, goszcząc przez dwie noce i dzień. Brat jego, Wincenty Ujazdowski, przebywał również na emigracji. Winnicki porozmawiał z Julianem na osobności i wypytywał się, jak to ostrożnie mówił w śledztwie, o okolicznych ludzi, którzy mogliby prowadzić działalność rewolucyjną. Powiedział też Ujazdowskiemu, że wielu oficerów przybyło z Francji do Polski, aby podjąć wojnę partyzancką i dał mu do przeczytania tekst „artykułów partyzanckich” i przysięgi. Ujazdowski uważał, że te osoby, które przybyły, nie mogą prowadzić poważniejszej walki. Także on radził Winnickiemu cofnąć się do Prus i czekać na jakieś ogólniejsze rozpoczęcie się działań. Ostrzegął, że działając w pojedynkę, naraża się tylko na niechybną śmierć. Winnicki był przekonany, że nie może się cofnąć, bo koledzy uważaliby go za zdrajcę. Za konieczne uznawał skontaktowanie się z Zawiszą i podróż do swojego obwodu kujawsko-gostyńskiego. Wtedy Ujazdowski powiedział Winnickiemu, żeby w Gostyńskim udał się do Adolfa Łączyńskiego we wsi Biała, niedawno przybyłego, chyba nie na próżno z Prus.

W Zbijewie Winnicki umówił się z żoną, że przyjedzie ona z matką, przed 20 marca do domu swojego krewnego, Gabriela Józefa Biernackiego w Klonowie. On też miał tam przybyć i postanowić, co zrobią dalej. Antoni Winnicki w tym czasie myślał już, że jeżeli spotka się z Zawiszą, to będzie próbował organizować partyzantkę, jeżeli zaś nie spotka się z nim, to może wyjedzie

z żoną i dzieckiem do Prus. Dziesiątego marca Tekla Winnicka wróciła do domu, a jej mąż wyruszył w dalszą wędrówkę. Końmi Ujazdowskiego dotarł po całym dniu jazdy bocznymi drogami do Soboty. Przenocował w podmiejskiej karczynie i rano poszedł na plebanię. Dowiedział się tam, że ks. Ojrzanowski niedawno został przeniesiony do Zgierza koło Łodzi, zaś Artur Zawisza nie przyjechał jeszcze w te strony i nie ma od niego żadnej wiadomości. Winnicki sądził, że może ks. Ojrzanowski jednak coś wie o Zawiszy i wybrał się w drogę do Zgierza. Znowu spędził noc w tym miasteczku i udał się do ks. Ojrzanowskiego. Ten przyjął go bardzo niechętnie. Powiedział, że nie wie o Zawiszy, a za to słyszał o „buntownikach” przyjeżdżających „kompromitować”, spokojnych obywateli i on nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Niedaleko na południe od Zgierza w Piotrkowie Trybunalskim, a dokładniej koło Piotrkowa na folwarku Obrzydki mieszkała siostra Antoniego Winnickiego, Eufrozyna, zamężna z Józefem Więckowskim. Winnicki postanowił odwiedzić ją i szwagra, zatrzymać się u nich dwa lub trzy dni i wrócić się do Soboty. Myślał, że w ciągu tych dni Zawisza zjawi się tam albo przyśle jakąś wiadomość. Odesłał konie Ujazdowskiego i przybył do Obrzydek 13 marca. Na folwarku gospodarował ojciec Józefa Więckowskiego, Józef zaś pracował jako komornik Sądu Pokoju w Piotrkowie. Antoni Winnicki spędził u Więckowskich trzy dni. Tu nie mówił o zamierzonym powstaniu, a tylko o tym, że wrócił z Francji starać się o amnestię i chciał zobaczyć siostrę. Nie dostał tu też furmanki. Za radą szwagra kupił sobie konia i konno, otrzymawszy od szwagra kozackie siodło, wracał do Zgierza i dalej do Soboty i Zbijewa. Miał zamiar jechać do Klonowa. W Zgierzku poszedł jeszcze raz do ks. Ojrzanowskiego, a w Sobocie do ks. Dębickiego. Nadal nie wiedzieli oni nic o Zawiszy.

W Sobocie w oberży Winnicki poznał przypadkiem szlachcica Ksawerego Wojciechowskiego spod Krośniewic, byłego kapitana polskiego. Powiedział Wojciechowskiemu, że przyjechał z Francji starać się o amnestię, żeby połączyć się z żoną i dzieckiem. Co jeszcze wyjawił on Wojciechowskiemu, nie wiadomo. Wojciechowski zaprosił Winnickiego do siebie na kolejny nocleg. Pobyt Winnickiego u Wojciechowskiego miał dla kujawskiego naczelnika nie dobre skutki. Może tu zaobserwował go ktoś mu wrogi, a może stało się to już wcześniej, w okolicy Lubrańczyka czy Zbijewa. Doniesiono władzom rosyjskim o nielegalnym jego przybyciu do kraju. Rosjanie zaczęli poszukiwać Winnickiego. On jeszcze nie wiedział o tym, ale już się tego bał. Przemykał się ukradkiem przez Chodecz znowu do Ujazdowskich w Zbijewie. Przybył tu 18 marca i zatrzymał się w młynie przed wsią. Zawiadomił jakoś Ujazdowskiego o swoim

przyjeździe. Ten zjawił się w młynie, gdzie jego żona przysłała zaraz dobrego chleba, pieczeń i wódkę. Ujazdowski też nie słyszał na razie o poszukiwaniu Winnickiego. Powiedział mu również, że zawiózł niedawno Adama Piszczatowskiego, który przybył do niego, do Adolfa Łączyńskiego i że Łączyński chce widzieć się z Winnickim. Winnicki rozpoczął wędrówkę po Królestwie Polskim. Przed 20 marca miał być w Klonowie w Konińskim, gdzie umówił się z żoną. Znowu bardzo chciał ją zobaczyć zanim uda się do Łączyńskiego. Przenocowawszy w młynie Ujazdowskiego, ruszył 19 marca koło Kłodawy, Dąbia, Uniejowa, do Klonowa, leżącego na zachód od Złoczewa i na północ od Wieruszowa, w którym rozpoczął swą wędrówkę po Królestwie Polskim. Tekla Winnicka nie przyjechała z niewiadomego powodu do Klonowa. Antoni Winnicki zastał tam po przyjeździe oprócz gospodarzy jej matkę i siostrę.

Gabriel Józef Biernacki, niemłody już człowiek, uczestnik Insurekcji Kościuszkowskiej, Legionów Dąbrowskiego, generał późniejszego Wojska Polskiego, poseł na Sejm Królestwa Polskiego, organizator w 1831 r., powstańczej siły zbrojnej w Kaliskiem, powiedział Winnickiemu, że w Kaliszu, skąd właśnie przyjechał, ludzie mówią o powstańcach usiłujących wywołać poruszenie i zapytał się go, czy i on do tych powstańców należy. Winnicki odpowiedział, że tak jest. Generał dowiedział się jeszcze, jakim sposobem zaliwszczycy chcą prowadzić tę wojnę, po czym orzekł, że byłoby dobrze, gdyby się im powiodło, ale nie ma na to nadziei. Stwierdził, że nawet przy największej usilności, jeżeli Niemcy i Francuzi nie powstaną i nie będą pomagać Polakom, oni sami nic nie zrobią. Biernacki znowu radził Winnickiemu, żeby szybko wycofał się za granicę, bo tu tylko zginie bezpożytecznie. Powiedział jeszcze, że niedaleko stąd Filip Grodziński, właściciel i wójt gminy Gruszyce kontaktuje się z powstańcami.

Winnicki pomyślał, że może powstanie się rozwinię i jemu nie wolno porzucać sprawy. Postanowił znowu powrócić na Kujawy, udać się w Gostyńskie, do Łączyńskiego i próbować działać po partyzancku. Postanowienie to zasmuciło bardzo panią Mierosławską. Przywiozła zięciowi trochę garderoby, z której on wziął tylko surdut i chustkę na szyję. 22 marca Winnicki opuścił Klonowo. W ciągu tego dnia dotarł do miasta Koła. Zanocował w karczmie i ruszył ku Gostyniowi. Przybył do Białej, ale nie zastał Adolfa Łączyńskiego, który rzekomo miał pojechać do Walentego Zaborowskiego, właściciela wsi Zaborów. Winnicki również się tam udał, ale nie spotkał obu tych mężczyzn. Była natomiast w Zaborowie pani Ujazdowska ze Zbijewa, wysłana przez męża dla odszukania Winnickiego i ostrzeżenia go, że Rosjanie go poszukują. Powiedziała mu, żeby zrzucił kulbakę i na oklep uciekał

przez całą noc, byle jak najdalej od Kujaw. Winnicki poprosił ją, żeby zawiadomiła jego żonę, iż pojedzie do szwagra Więckowskiego w Piotrkowie i tam będzie na nią czekał. Potem z nią albo sam wyjedzie za granicę.

Antoni Winnicki dotarł szczęśliwie 27 marca do Więckowskich w Obrzydkach. Nie podaje on w zeznaniach, czy pokonanie trasy z Zaborowa w Gostyńskim do Piotrkowa na koniu w ciągu trzech dni było łatwe czy trudne, czy krażyły tam patrole Jego Cesarskiej Mości i straże chłopskie. Szwagier Józef Więckowski przyjął Winnickiego dobrze. Prosił go, żeby nigdzie nie chodził i czekał na przyjazd żony. Tekla Winnicka nie przyjechała jednak do Piotrkowa. Została chyba aresztowana, podobnie jak i prawie wszyscy ci, którzy przyjmowali u siebie jej męża. On nie pomyślał o ucieczce za granicę bez spotkania się z nią.

W kwietniu 1833 r. bliżej nieokreślonego dnia Rosjanie ujęli Antoniego Winnickiego w domu Więckowskich w Obrzydkach koło Piotrkowa. Przewieźli go do Warszawy, gdzie stanął przed Komisją Śledczą policmajstra Storozhenki i opowiedział swoje dzieje. Komisja przedstawiła „zbrodnicze” zamiary Winnickiego gen. Iwanowi Paskiewiczowi, który skazał go na śmierć przez rozstrzelanie. Jeszcze raz jechał Winnicki przez znajomą ziemię do Kalisza. Tam wykonano na nim wyrok 18 listopada 1833 r.

4. Oddział poruczników Kaliksta Borzewskiego i Artura Zawiszy

Trzeci znany oddział partyzancki zorganizowany w Księstwie Poznańskim w ramach Zaliwyszczyny, już z przeszło miesięcznym opóźnieniem, utworzył por. Kalikst Borzewski, mający być okręgowym lipnowsko-płockim. Do oddziału tego przystał por. Artur Zawisza, okręgowy warszawsko-sochaczewski. Borzewskiego w sprawę partyzantki wciągnął Zawisza, który przyjął pseudonim „Czarny” i na wiosnę 1833 r. wchodził dwa razy z Poznańskiego do Królestwa Polskiego, raz sam, raz z Borzewskim. Gdy oddział Borzewskiego stał się w okolicy mazowieckiego Lipna przedmiotem rosyjskich obław i nie mógł prowadzić żadnej akcji, aż w końcu został rozbity i Borzewski zrezygnował z jego dowództwa, przejął je Artur Zawisza. Chciał przedostać się z tym oddziałem do swojego okręgu i próbować walczyć z wrogiem. Sprawa nie udała się i Zawisza oraz kilku jego towarzyszy przeplącało ją życiem.

Kalikst Borzewski urodził się w 1805 r. jako syn szlacheczki we wsi Chojno w okręgu lipnowskim. Młodo wstąpił do służby w II Pułku Jazdy Płockiej i awansował na porucznika. W czasie Powstania Listopadowego poznał w tym pułku Artura Zawiszę i jego brata Adolfa i zaprzyjaźnił się z nimi. Razem przeszli

ówczesną kampanię wojenną i wyruszyli na Wielką Emigrację. Przypadłe Borzewskiemu Chojno zostało skonfiskowane. On oraz Adolf Zawisza udali się do Belgii i wstąpili do armii belgijskiej. Pozostawali w ciągłym kontakcie z Arturem, który pojechał do Paryża.

Artur Zawisza urodził się w 1808 r. w rodzinnym majątku przynależnym do miasta Sobota na Mazowszu. Był jednym z trzech synów Cypriana i Marianny z Karnkowskich, członkiem zamożnego i szeroko rozgałęzionego rodu. Ojca stracił wcześniej i odbywszy naukę w szkołach w Piotrkowie, Kaliszu i Radomiu, wstąpił na Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Wybuch Powstania Listopadowego zastał go na czwartym, ostatnim roku studiów. Pod wpływem ogólnego nastroju i perspektywy odzyskania niepodległości Polski, Artur wstąpił najpierw do Towarzystwa Patriotycznego, a następnie zgłosił się do wojska. Wcielono go w stopniu porucznika do II Pułku Jazdy Płockiej. Poznał w nim Kaliksta Borzewskiego. Razem uczestniczyli w frontowych walkach i przeszli do garnizonu twierdzy Modlin. Po kapitulacji Warszawy przedostali się z Adolfem Zawiszą do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, do Działowskich, krewnych Zawiszów, właścicieli majątku Turzno, trochę na wschód od Torunia. Na wiosnę 1832 r. ruszyli na zachód Europy. Borzewski i Adolf Zawisza pozostali w Belgii, wstępując do jej armii, Artur Zawisza dotarł do stolicy Francji. Nie został wysłany do obozu wojskowego, chodził tu na kursy filozoficzne, na zebrania łóż masońskich i polskich emigrantów. Został członkiem Towarzystwa Demokratycznego. W listopadzie lub w początkach grudnia tego roku, spotkał Artura na jakimś zebraniu płk Józef Zaliwski i zaprosił do siebie. Zawisza stawił się i dowiedział się o planowanym na marzec 1833 r. wybuchu antyrosyjskiej wojny partyzanckiej pod dowództwem Zaliwskiego. Uwierzył słowom pułkownika, że wielu oficerów-emigrantów decyduje się wziąć udział w tej wyprawie i nie chcąc być gorszym od nich w służbie ojczyzny, przyjął funkcję warszawsko-sochaczewskiego naczelnika okręgowego.

W pracy tej przedstawiono już, w jaki sposób Zaliwski rozmawiał wtedy z Zawiszą. Ten przejęty obowiązkiem wzniesienia powstania w tak ważnym i znacznym miejscu jak Warszawa i jej okolica, rozsądnie zapytał się Zaliwskiego o to, kto organizuje ruch i prosił o wskazanie mu osób, do których mógłby się zwrócić w stolicy Królestwa Polskiego. Zaliwski jednak polecił mu tylko odpisać sobie tekst instrukcji „artykułów partyzanckich” i przysięgi oraz wymienił nazwiska sąsiednich naczelników: Edwarda Szpeka, Antoniego Winnickiego i innych. Młody Artur Zawisza, rozmawiając z Zaliwskim, nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze wszystkich niebezpieczeństw grożących powstańczemu naczelnikowi okręgowemu,

choć myślał o nich. Chciał, żeby podobnie jak i on służył krajowi i jego przyjaciel, por. Kalikst Borzewski i zaproponował go Zaliwskiemu. Ten przyjął Borzewskiego chętnie i przydzielił mu okręg lipnowsko-płocki. Artur Zawisza miał jeszcze zamiar zarekomendować brata Alfreda, ale wstrzymał się, uświadamiając sobie to, na co naraża siebie i Borzewskiego. Sam miał chwile, gdy gotów był ponieść śmierć dla sprawy wolności narodu, ale bał się myśli, że jego matka może stracić dla tej sprawy od razu dwóch synów. Po rozmowie z Zaliwskim Zawisza zawiadomił Borzewskiego oględnie w liście o projekcie wyprawy. Otrzymał odpowiedź, że Borzewski jest gotowy na każde poświęcenie. Potem został z namowy Kaspra Dziewickiego członkiem organizacji karbonarskiej i przygotowywał się do drogi. Starał się zbliżyć do przyszłych sąsiednich naczelników okręgowych. Z Antonim Winnickim umówił się na spotkanie u ks. Ojrzanowskiego w Sobocie, nie wiedząc, że tego księdza tam już nie będzie.

Ks. Aleksandra Pułaskiego z TDP prosił o wskazanie mu w Warszawie ludzi, na których mógłby się oprzeć w swojej działalności. Pułaski podał mu kilka nazwisk księży, urzędników, rzemieślników i handlarzy. Zawisza chciał wyjechać wcześniej z Paryża, wstąpić do Borzewskiego do Belgii i pojechać do Turzna w Księstwie Poznańskim. Liczył, że będzie u Działowskich już koło 15 lutego 1833 r. i prosił w liście matkę, żeby w tym czasie przyjechała tam również. O paszport dla Zawiszy aż do pruskiego królestwa wystarał się mu znajomy Francuz. O sprawach pieniężnych Zawisza nic nie mówił później przed Komisją Śledczą.

Jednak tuż przed wyjazdem do kraju, w styczniu wyżej wymienionego roku, Artur zachorował i musiał się leczyć. Wyjechał z Paryża do Belgii 18 lub 20 lutego. Borzewski spotkany w Tournai zgodził się brać udział w partyzantce i zostać naczelnikiem płocko-lipnowskim. Chciał urzędowo zwolnić się z belgijskiego wojska i obiecał przyjechać w Poznańskie, jak tylko to załatwi. Artur Zawisza wyruszył w podróż pospieszną pocztą, chcąc jak najprędzej dotrzeć do Turzna. Spędził pięć dni w Berlinie, odpoczywając i odwiedzając kuzynkę Zofię Sumińską, żonę byłego dyrektora Poczty w Królestwie Polskim. Dowiedział się od niej o stosunkach politycznych panujących w zaborze rosyjskim. 19 marca stanął wreszcie w Turznie. Był to najwyższy czas na organizowanie oddziału partyzanckiego i wkraczanie z nim w nocy z 19 na 20 marca w granice Królestwa.

Pod wpływem rozmowy z Sumińską Artur Zawisza uznał, że nie będzie tworzył oddziału w Poznańskim, bo trudno byłoby mu przedostać się z nim w okolice Warszawy. Postanowił zaczekać na przyjazd Borzewskiego, wejść razem w Lipnowskie, przedostać

się do swojego okręgu i dopiero tam formować sobie własną grupę. Marianna Zawiszowa, nazywana przez syna Zawiszyną, była już u Działowskich z synem Augustem, gospodarzem z Soboty. Artur powiedział kuzynom, że przyjechał załatwić sprawy majątkowe. Odnawiał znajomości ze szlachtą z sąsiednich majątków: z Karolem Kalksteinem z Pluskowęs, z Kossowskim z Gajewa, Zboińskim z Mgoszczy i innymi. Na pewno rozmawiał z nimi o prawdziwym celu swojego przybycia. Tak minęły trzy tygodnie, a Borzewski nie przyjeżdżał. W końcu marca matka Artura postanowiła wracać do domu, leżącego poza rosyjskim kordonem, żeby spędzić u siebie nadchodzące Święta Wielkanocne. Po jej wyjeździe Artur Zawisza, nie mogąc doczekać się Borzewskiego, powziął zamiar samotnego udania się do Królestwa Polskiego. Chciał dowiedzieć się czegoś o naczelnikach okręgowych, którzy powinni byli już działać na Kujawach, Mazowszu i dalej. Był ciekawy wiadomości o Winnickim. Miał się z nim spotkać u ks. Ojrzanowskiego.

W ostatnim dniu marca Zawisza wyruszył w drogę. Działowski powiedział, że jedzie do Pluskowęs, stamtąd do Królestwa, ale jeszcze wróci. U Kalksteina napisał sobie zaświadczenie, że jest mieszkańcem Królestwa o nazwisku Czarny i udaje się w interesach do Warszawy. Podpisał je nazwiskiem wójta ze wsi Rusinowo i opieczętował przez odbicie pięćzłotówki. Potem ubrał się w chłopski strój, lnianą koszulę, spodnie, niebieski płaszcz i zniszczony kapelusz, a właściciel Pluskowęs odesłał go z zaufanym człowiekiem ku granicy rosyjskiej. Artur Zawisza przeszedł tę granicę, nie wiadomo, w dzień czy w nocy, pod miejscowością Złotoryja na południowy wschód od Torunia i ruszył w głąb rodzinnego kraju. Szedł bocznymi drogami do ks. Ojrzanowskiego w Zgierzu z myślą o spotkaniu z Winnickim. Wnet zauważył ostrożność władz zaborczych i wszystkich rodaków wobec obcych i wędrowców. Kontrolowały ich w każdej wsi władze chłopskie. Karczmarze i inne osoby przyjmujące ich na nocleg, też żądali świadectwa tożsamości. Zawisza posuwał się szczęśliwie. Minał Lipno, gdzie Borzewski miał być okręgowym, Dobrzyń nad Wisłą, Winiary i pod Płockiem przeprawił się na lewy brzeg Wisły. Posilił się, zanocewał i zasięgał informacji w karczmach. Tak doszedł do karczmy we wsi Oszczywilk koło Łacka, niedaleko od Gostynina. Zbliżał się do trasy przemierzanej niedawno przez Antoniego Winnickiego. Był też już w swoich stronach. Z Gostynina miał blisko do rodowej Soboty. Jednak w karczmie w Oszczywilku coś sprawiło, że Zawisza wstrzymał się z dalszym marszem, zawrócił i udał się z powrotem w stronę Płocka, Lipna i granicy Królestwa Polskiego. Później mówił w śledztwie, że cofnął się z drogi w Oszczywilku, dlatego że był bardzo zmęczony podróżą i doznany mi w niej sztykanami.

Zauważył też, iż nie ma w tych stronach ruchu powstańczego. Przekonał się też, że działalność powstańcza prowadzona przez niewielkie oddziały, czy pojedynczych ludzi, takich jak Borzewski i Winnicki, nie ma racji bytu. Mało prawdopodobne wydaje się, żeby Zawisza wrócił z drogi, do ks. Ojrzanowskiego w Zgierzu tylko pod wpływem zmęczenia albo obawy przed chłopami uległymi wobec zaborcy czy innymi jego organami. Nasuwa się zaś myśl, że w Oszczywilku Zawisza, który już wcześniej słyszał od karczmarzy o występowaniu burzycieli próbujących zamącić istniejący porządek publiczny, dowiedział się o poszukiwaniu, a jeszcze prędzej o aresztowaniu Antoniego Winnickiego. Nie miał więc po co jechać do Zgierza i zawrócić w Poznańskie z myślą o Borzewskim. Dotarł w Poznańskie pomyślnie. U Kalksteina w Pluskowęsach przebrał się we własną odzież, dowiedział się, że Borzewski dalej nie dał znać o sobie i został odstawiony do Turzna.

Wędrówka Artura Zawiszy do Królestwa Polskiego trwała jedenaście dni i nocy. Przyniosła zobojętnienie naszego bohatera dla sprawy Zaliwsczyzny i postanowienie wyjazdu na Zachód. Przed 20 kwietnia otrzymał on jednak list od Ludwika Śląskiego, właściciela wsi Trzebież spod Łomży, wzywający go na spotkanie z Kalikstem Borzewskim. Zawisza, czując się odpowiedzialnym za wyrwanie Borzewskiego z belgijskiego wojska, wciągnięcie w sprawę partyzantki Zaliwskiego i sprowadzenie w Poznańskie, postanowił się teraz z nim spotkać. Pojechał, do Trzebca, gdzie oczekiwał go Borzewski, pełen zapału i dobrych myśli. Opowiadał on o swoich działaniach w Prusach, gdzie od kilku dni jeździł po dworach jako kupiec owczej wełny. Poznał w ten sposób trochę szlachty i doznaje od niej pomocy. Umówił też sobie kilku ludzi do oddziału, który wkrótce będzie gotowy do wymarszu do Królestwa. Teraz Zawisza, podobnie jak miesiąc wcześniej Edward Szpek pod Parczewem, nie miał odwagi powiedzieć przyjacielowi, że stracił ochotę do partyzanckiej działalności, nieposiadającej żadnych szans powodzenia, a grożącej niebezpieczeństwem śmierci. Podał się optymizmowi Borzewskiego, przedstawił mu swoją wyprawę w Gostyńskie i poczynione tam spostrzeżenia. Koledzy postanowili wyruszyć razem poza graniczny kordon. Borzewski miał nadzieję, że zwerbują w obwodzie lipnowsko-płockim większą ilość partyzantów i że udadzą się w okolice Warszawy.

Zbiórka oddziału Borzewskiego miała się odbyć wieczór 29 kwietnia w lesie karczewskim nad rzeką Drwęcą. Stąd oddział powinien był zaraz przedostać się do Królestwa Polskiego. Zawisza wrócił jeszcze do Turzna, ale dalej nie starał się o zdobycie dla siebie ludzi. Tylko w Ryńsku u Wilkrzyckich pozyskał jednego silnego mężczyznę, Grzegorza Zajacę, byłego żołnierza polskiego.

W wyznaczonym dniu Artur Zawisza i Zając, który przybrał sobie pseudonim „Portella”, wstąpili, jadąc do lasu karczewskiego, do Kossowskiego w Gajewie. Zawisza znowu włożył chłopskie ubranie, uzbroił się w fuzję, dwie króćce, pałasz i sztylet. Kossowski odwiózł przybyszy do lasu nad Drwęcą. Tam zeszedli się Borzewski i jego kandydaci na partyzantów oraz przyjechali dwaj ziemianie: Natalis Sulerzycki i Mateusz Wilczewski z Wądzynia, pomagający Borzewskiemu. Oni przywieźli broń i żywność dla oddziału.

Oddział Kaliksta Borzewskiego i Artura Zawiszy sformowany w lesie karczewskim liczył zaledwie osiem osób. Oprócz tych dwóch poruczników, będących, jeden dowódcą, a drugi zastępcą, w skład oddziału weszli: Antoni Aksamitowski, Kajetan Kowalewski, Robert Kurella, Ignacy Siedlecki, Paweł Wójtkiewicz i Grzegorz Zając. Ludzie ci poprzyjmowali sobie pseudonimy podobnie jak Zając. Służący Wilczewskiego miał zaprowadzić oddział nad Drwęcę i pomóc w przeprawie przez nią. Za rzeką rozciągało się już Królestwo Polskie, czyli zabór rosyjski. Borzewski odczytał członkom swojego oddziału „artykuły partyzanckie” i odebrał od nich przysięgę. Potem oddział ruszył ku rzece. Nad jej brzegiem leżały tratwy. Wilczewski, przygotowujący przewóz partyzantów, myślał, że uda się je połączyć, spuścić na wodę, ustawić wszerej jej koryta i zrobić rodzaj mostu, po którym oddział przeszedłby na drugą stronę na wprost wsi Połonnej. Jednak woda porywała tratwy. Przewodnik od Wilczewskiego chciał przepłynąć Drwęcę wpław i zaczepić tratwy na drugim brzegu, ale omal nie utonął. Przeprawa tej nocy nie udała się. Oddział wrócił w lasy karczewskie i musiał spędzić w nich cały dzień. Wieczorem tego dnia Sulerzycki i Wilczewski znowu przyjechali do oddziału, przywożąc mu żywność i wiadomość, że umówili rybaka, który w nocy przewiezie powstańców przez rzekę.

Była to noc z 30 kwietnia na 1 maja 1833 r. Miejsce przewozu było dosyć oddalone. Oddział szedł do niego z przewodnikiem, ten jednak zabłądził w lesie i uciekł, opuszczając powstańców. Oni znowu musieli pozostać w lesie do rana, spędzić w nim dzień i szukać możliwości przeprawy. Pomogli im w tym spotkani Żydzi, kontrabandziści z Rypina w Królestwie, wskazując Borzewskiemu miejsce zamieszkania rybaka – przewodnika. Rybak, Kreczmar, przewiózł oddział w nocy z 1 na 2 maja przez Drwęcę, odprowadził do przygranicznej wsi Radziki Małe, położonej już w obwodzie lipnowskim i poinformował o tamtejszym posterunku kozackim. Józef Zaliwski zalecał nie atakować posterunków rosyjskich tuż przy granicy, lecz odchodzić spokojnie w głąb kraju. Mimo to Borzewski postanowił rozpocząć swoją partyzancką działalność od napadu na posterunek w Radzikach, znajdujący się w karczmie.

Podprowadził oddział pod tę ciemną, uśpioną jeszcze chatę. Stało przed nią pięć pik, zdradzając, że posterunek liczy tyleż osób. Straży przy nim nie było. Borzewski zostawił dwóch swoich ludzi: Aksamitowskiego i Kowalewskiego na warcie, a z pięcioma podszedł pod budynek. Jeden z partyzantów, zdaje się, że Wójtkiewicz, znający język rosyjski, podszedł do okna karczmy, zapukał w nie i udając Kozaka, powiedział: „Zapisku prynoszu, bratiec”. Na te słowa uchyliły się drzwi domu i sześciu przybyszów wdarło się do jego wnętrza.

Zawisza mówił potem przed Komisją Śledczą, że Borzewski i on nie mieli zamiaru zabijać Kozaków z tego posterunku, chcieli powiedzieć im o celu swojej wyprawy, namówić ich do dezercji, do pójścia z nimi w las, ale stało się tak, że wywiązała się walka. Pierwszy Kozak przy drzwiach został pchnięty nożem, inni strzelali. Polacy też użyli broni. W wyniku strzelaniny zginęło czterech żołnierzy rosyjskich. Uratował się i uciekł jeden z nich, ten, do którego strzelał Zawisza. On właśnie dostał się do następnego posterunku, powiedział o najściu „bandy”, alarmując tym samym władze rosyjskie w obwodzie lipnowskim.

Kalikst Borzewski i ludzie z jego oddziału nie myśleli o tym. Cieszyli się z pierwszego sukcesu. W czasie bójki dwaj spośród nich, Kurella i Zając, zostali ciężko ranni. Walka rozgrzała partyzantów. Artur Zawisza, posiadający dar pisania wierszy, skreślił jakieś rymy o śmierci pięciu kozaków. Wiersz ten znaleziony przy nim w czasie pojmania był potem ważnym dowodem jego winy. Partyzanci zabrali z karczmy kilka karabinków, pałasze, ładownice i ruszyli w lasy pomiędzy Rypinem, Skępem i Skrwilnem. W drodze, nad ranem dnia 3 maja, Borzewski przyszedł z oddziałem pod swoją wieś, Chojno, skonfiskowaną mu po udziale w Powstaniu Listopadowym i wyjeździe na emigrację. Oddział wszedł do domu chłopca mieszkającego pod lasem i spędził w nim cały dzień. Członkowie oddziału kupili sobie tu prosiaka i urządzili ucztę. Ich grono powiększyło się o jednego człowieka. Był to Ignacy Morozow, Białorusin z powiatu słuckiego, liczący ponad czterdzieści lat, dezercer z 12 syberyjskiego pułku jęgrów stacjonującego w Rypinie.

Borzewski jakoś nie starał się w Chojnie zdobyć nowych członków do swojego oddziału. Wieczorem 3 maja wyruszono w dalszą drogę. Przez dwie noce i dwa dni, aż do 6 maja oddział stacjonował w lesie lubowidzkim, należącym do dóbr Sumińskiego, którego żona Zofia była kuzynką Zawiszy, spotkaną niedawno w Berlinie. Zatrzymano się u smolarza, mieszkającego w lesie. Borzewski żądał, żeby smolarz ułatwił mu porozumienie się z obywatelem Wilczewskim ze wsi Jastrzębie, krewnym Mateusza Wilczewskiego z Wądzyna. Smolarz sprowadził Borzewskiemu Józefa Kamińskiego,

leśniczego z tego lasu. Borzewski wysłał go z kartką do Wilczewskiego, prosząc go o przybycie. Wilczewski przybył następnego dnia razem z sąsiadem, Onufrym Ostrowskim, właścicielem majątku Złotopole, przyprawiony przez Kamińskiego. Kamiński bardzo bał się spotkania z partyzantami. Narzekał głośno, że wpadnie z tego powodu w nieszczęście. Podobno obawiał się takich kontaktów także i Wilczewski. Bardziej odważny był Ostrowski. Obydwaj ci mężczyźni mówili, że Rosjanie z Lipna i innych mazowieckich miast poszukują bandytów, sprawców mordu w Radzikach. Wilczewski przysyłał Borzewskiemu żywność, ale sam więcej nie przyszedł do lasu. Sprawą oddziału przejął się natomiast Ostrowski. Obiecał on porozumieć się z okolicznymi właścicielami ziemskimi, a przede wszystkim z Maciejem Mystkowskim, prawym człowiekiem, byłym majorem polskim, właścicielem wsi Przyborowice i dzierżawcą niedalekiego Makowa. Jeszcze tego samego dnia przysłał do oddziału znajomego – Gustawa Zielińskiego, dziedzica wsi Kierz, przychylnego partyzantom. Ten poproszony przez rannego Kurellę, zabrał go do swojego domu, ratując mu w ten sposób życie.

Także i Ostrowski gotów był zabrać Borzewskiego i jego towarzyszy i rozlokować ich wśród swoich sąsiadów. Uważał, że taka forma partyzanckiej walki z Rosją jest szaleństwem. Chciał jednak pomóc nierozważnym szaleńcom, rodakom, narażając siebie i swoich sąsiadów. Wiedział przecież, tak jak i inni, jakie to pociąga za sobą skutki. Znał zarządzenia władzy państwowej, że każdy, kto ociąga się z doniesieniem o wystąpieniu „złoczyńców” albo pomaga im, stanie przed sądem i otrzyma surową karę. Ostrowski postanowił udać się, do Mystkowskiego, zamieszkałego w Makowie, miejscowości położonej wśród lasów orłowskich. Oddział Borzewskiego też poszedł w te lasy. Łącznie z nim utrzymywał Gustaw Zieliński, dowożąc razem z Łukaszem Gubrykiem, cukiernikiem z Lipna, znajomym Borzewskiego żywność na potrzeby partyzantów.

Wieczorem 11 maja Borzewski wysłał Zawiszę z listem do Mystkowskiego, który był majorem w II Pułku Jazdy Płockiej, gdzie wcześniej służyli Borzewski i Zawisza. Trochę później nadjechał też Ostrowski. W jego obecności Mystkowski rozmawiał z Zawiszą. Wypytywał się go o sposób prowadzenia zaplanowanej przez Zalińskiego wojny partyzanckiej z Rosją, o jej dotychczasowe osiągnięcia i podziwiał odwagę partyzantów. Powiedział jednak, że obecnie prowadzenie partyzantki na Mazowszu jest niemożliwe, a władze w Lipnie wiedzą o kierunku poruszania się oddziału Borzewskiego i wydały rozporządzenia dla ścigania go przez oblawy. Mystkowski uważał, że oddział ten w lasach się nie utrzyma, bo może wydać go, dla nagrody pieniężnej, byle jaki spotkany przechodzień. Jedynym wyjściem wydaje się rozproszenie oddziału

i ukrycie się jego członków, przynajmniej na okres obław w tej okolicy. Mystkowski polecił, żeby Borzewski przyprowadził swoich ludzi do niego, on zaś porozsyła ich do znajomych. Powiedział, że naraża to na represje wszystkich udzielających oddziałowi pomocy, ale ratuje życie partyzantów.

O świcie następnego dnia Zawisza wrócił do lasu. Za nim przyjechał Ostrowski, przywożąc żywność od Mystkowskiego. Po jego odjeździe skrajem lasu orłowskiego przechodziła obława. Oddział nie został zauważony. Partyzanci ukryli swoją broń i w nocy z 12 na 13 maja przybyli do dworu w Makowie. Wkrótce przyjechał też tam Julian Rościszewski, dziewiętnastoletni dziedziec niedalekiej wsi Wierznica, umówiony przez Mystkowskiego i zabrał z sobą trzech partyzantów: Kowalewskiego, Morozowa i Zajacę, mając odesłać ich dalej. Rościszewski był odtąd bardzo oddany sprawie oddziału, a nawet chciał się do niego przyłączyć. Siedleckiego skierował Mystkowski do Stefana Grefkowicego urodzonego w Wierznicy, a pełniącego funkcję wójta w pobliskiej wsi Lenie Wielkie. 14 maja wieczorem Borzewski pojechał do swojego szwagra, Erazma Czermińskiego do wsi Gorzuchowo. U Mystkowskiego zostali Zawisza, Aksamitowski i Wójtkiwicz. Łączność pomiędzy członkami oddziału utrzymywał Julian Rościszewski.

Pobyt w Makowie był dla Zawiszy okazją do rozmyślań nad sensem dalszych działań. Nie wiemy, co naprawdę czuł i myślał Artur Zawisza w dniach, gdy ukrywał się po dworach i jakie były motywy jego postępowania. Jeszcze 14 maja zastanawiał się, czy nie porzucić sprawy i nie wrócić w Poznańskie. Posłał nawet list do Zofii Sumińskiej z prośbą o przewiezienie go za granicę. Otrzymał odpowiedź, że zostanie przewieziony, gdy Zofia będzie jechała na jarmark do Torunia. Może to stanowisko krewnej, może zmęczenie Zawiszy wędrówką po szlacheckich domach, a może jeszcze coś innego sprawiło, że postanowił on wrócić do lasu. Może jednak przeważało w nim poczucie obowiązku, chęć przedostania się do przydzielonego mu okręgu i spróbowania prowadzenia w nim działalności partyzanckiej.

W dniach 13 i 14 maja napisał u Mystkowskiego dwie odezwy: jedną do Obywateli Województwa Mazowieckiego, drugą do Żydów. Wójtkiwicz przygotował w tym czasie odezwę do Kozaków i wykonał pieczętkę dla podbicia odezw. Wyrył na niej Orła i Pogoń litewską, a ponad tym u góry napis „Polska i Litwa”, z dołu zaś „Zemsta Ludu”. Odezwy zabrali szlachcice pomagający Borzewskiemu i Zawiszy. 15 maja Zawisza pojechał konno do Juliana Rościszewskiego w Wierznicy. Spędził tam trzy dni i spotkał się tam z Marianem Thuchowskim, właścicielem wsi Romatowa w obwodzie mławskim, Teofilem Kownackim z Płocka, którego znał z wojska

i Stanisławem Zabłockim ze wsi Dyblin. Mówił z nimi o sprawach partyzantki. Prosił o wyszukanie kilku ludzi do jego oddziału. 18 maja przyjechał do Wierznicy Roman Chelmiecki i zabrał Zawiszę znowu na trzy dni do swoich Fabianek leżących niedaleko od Wisły. Stąd Zawisza napisał list do krewnych Podoskich, właścicieli wsi Rusinowo, prosząc ich o przygotowanie dla niego broni. List zawiózł Julian Rościszewski. Zastał on w Rusinowie matkę Artura Zawiszy i jego brata Augusta. Nie wiadomo, czy pobyt Zawiszowej u krewnych był przypadkowy, czy też wiedziała ona coś o pobycie syna w tych okolicach i dowiadywała się o niego.

21 maja Julian Rościszewski zabrał Zawiszę na spotkanie z Borzewskim do p. Joanny Lempickiej we wsi Nasięgniewo. Zawisza powiedział Borzewskiemu, że nie ma ochoty przebywać dłużej w ukryciu u szlachty i narażać gospodarzy na niebezpieczeństwo represji, a siebie na ujęcie przez Rosjan. Borzewski oświadczył natomiast Zawiszy, że nie widzi na razie żadnej możliwości prowadzenia działań partyzanckich w okręgu lipnowsko-płockim. Sam również nie mógł pozostawać dalej na tym terenie pod groźbą wykrycia. Swym ludziom polecił dalsze ukrywanie się lub powrót do Prus. On sam natomiast wybierał się do domu Zboińskich w Wistce za Wisłą, krewnych Zboińskiego z Mgoszczy i tam miał podjąć decyzję, co do dalszej działalności. Gdyby nastąpiła jakaś pomyślna dla Polaków zmiana sytuacji, gotów był powrócić do akcji antyrosyjskiej.

Artur Zawisza powinien był przyznać rację koledze i też myśleć o wycofaniu się z niebezpiecznego terenu, o ratowaniu życia. Szlachta udzielająca mu schronienia na pewno przetransportowałaby go po cichu, podobnie jak i innych członków oddziału za granicę pruską. On jednak zrobił inaczej. Oświadczył Borzewskiemu, że pojedzie do lasu i weźmie ze sobą tych partyzantów z oddziału, którzy tego chcą. Borzewski nie sprzeciwił się. W ten sposób Zawisza przejął dowództwo. Przyjaciele rozstali się, a w dwa dni później Zawisza dowiedział się, że Borzewski udał się w stronę Prus. On zaś podjął działania mające na celu zgrupowanie i powiększenie oddziału. Pomagali mu w tym Julian Rościszewski, jego brat Kazimierz z Kisielewa, Kownacki, Zabłocki a także i Mystkowski. Oddział zebrał się w tulibowskim lesie nad Wisłą, w wieczór 26 maja. Przybyli do niego wszyscy dawni członkowie oprócz Borzewskiego i Kurelli, a więc: Aksamitowski, Dąbkowski, Kowalewski, Morozow, Siedlecki, Wójtiewicz i Zając oraz nowo pozyskani: Kazimierz Kisielewski, Antoni Lucjan Luboradzki, Aleksander Palmart i Hilary Weber. Jedenastu mężczyzn – Zawisza był dwunasty.

Zawisza czekał na przysłanie jakiejś broni i przyszedł do

oddziału przyproawdony przez Juliana Rościszewskiego następnego dnia. W tym czasie partyzanci zabrali swoją broń ukrytą przed pójściem do Mystkowskiego. Dostarczono żywność, a Zawisza odczytał „artykuły partyzanckie” i odebrał przysięgę od nowych osób. Zastępcą swoim uczynił Pawła Wójtkiewicza. Oddział miał jeszcze tej samej nocy przeprowić się na lewy, południowo-zachodni brzeg Wisły, w lasy pod Włocławkiem i iść nimi w stronę Płocka i Warszawy. Nad rzeką czekała na nich łódź, ale nie było w niej wiosel i przeprawa tej nocy nie odbyła się. Oddział wrócił na miejsce zbiórki i spędził tam cały dzień. Wieczorem partyzanci dotarli do Nasięgniewa. Zawisza wszedł do pani Łempickiej i prosił ją o żywność dla swoich ludzi i przewiezienie ich przez Wisłę. Prośba została spełniona w nocy z 1 na 2 czerwca.

Po przepłynięciu Wisły partyzanci znaleźli sobie dobre miejsce ukrycia koło Włocławka. Nazajutrz Zawisza wysłał Palmarta do tego miasta z napisanymi proklamacjami i w celu zwerbowania ludzi. Miał żywą, niczym jednak nieuzasadnioną nadzieję, że tutaj ich znajdzie. Cekał na Palmarta i ochotników w tym samym miejscu przez całe pięć dni. W ciągu tych dni dowiedział się, ilu wojskowych liczy załoga Włocławka, planował na nią napad, jednak znowu posiadał za mało swoich partyzantów. Marzył też głośno o przedostaniu się do Warszawy, o zatruciu wody w tamtejszej studni garnizonowej, przy pomocy trucizny otrzymanej jeszcze we Francji i starannie przechowywanej. Planował też zabicie namiestnika gen. Iwana Paskiewicza. Tymczasem oddział Zawiszy zamiast się powiększyć, zmniejszył się. Pod Włocławkiem opuścili go Aksamitowski i Kowalewski, podając jakiś błahy powód i Siedlecki, który po prostu uciekł. Palmart zaś przyproawdził tylko jednego ochotnika, Józefa Wiśniewskiego. Partyzanci podeszli pod wieś Lutobórz, własność Wiktora Celińskiego i otrzymali od niego pożywienie. Niedaleko stąd, we wsi Kłobka mieszkał młody Ignacy Orpiszewski, znajomy Zawiszy ze studiów, a następna miejscowość, Głaznów, była posiadłością Jana Bardzińskiego, dalekiego krewnego Zawiszy. Wezwany Orpiszewski przysłał żywność, przybył do lasu i poproszony przyrzekł Zawiszy, zapoznać go z okoliczną szlachtą i pozyskać ją dla oddziału. Orpiszewski udał się do Bardzińskiego i powiedział mu o Zawiszy, jego ludziach i zamiarach. Bardziński tak przestraszył się wiadomościami, że nie tylko nie chciał spotkać się z szalonym krewniakiem, ale szybko wyjechał z domu, żeby ten nie odwiedził go pomimo jego woli. Podobnie i inni ziemianie obawiali się kontaktów z partyzantami. Oni zaś krążyli jeszcze przez jakiś czas w lasach kowalskich, a potem ruszyli, zamiast na wschód ku Warszawie, bardziej na południe do Krośniewic. Przyszli pod tę miejscowość o świcie 15 czerwca

i ulokowali się w podmiejskim lasku. Niestety, tu zostali zauważeni przez pastucha pasącego bydło. Artur Zawisza tu popełnił wielki błąd. Zamiast, widząc pastucha, odejść szybko z tego miejsca i ukryć się dobrze, zawierzył temu prostemu i prymitywnemu człowiekowi. Zadowolili się zapewnieniem, popartym przysięgą, że pastuch nie wyda powstańców władzy, że ich nie zdradzi. Tymczasem on, odszedłszy z lasu, sprowadził obławę. Rosyjscy huzarzy otoczyli biwakujący oddział, strzelając do niego. Polacy też na krótko podjęli walkę, a potem rozproszyli się, uciekając w las. Z uciekających złapano Zawiszę, Morozowa, Palmarta i Zająca. Inni na razie wymknęli się, ale oddział przestał istnieć. Zawisza i jego trzech koledzy zostali przewiezieni do Warszawy i stanęli przed Komisją Śledczą gen. Storożenki. Wkrótce dołączono do nich Antoniego Luboradzkiego, ujętego przez chłopów jeszcze pod Krośniewicami, Józefa Dąbkowskiego, Hilarego Webera, Józefa Wiśniewskiego i Pawła Wójtkiewicza, aresztowanych na skutek donosu czy też nieostrożności tegoż Wiśniewskiego oraz Antoniego Aksamitowskiego, znalezionej osobno. Gen. Storożenko wydał na tych „bandytów” surowe wyroki, a gen. Paskiewicz zatwierdził je. Artura Zawiszę powieszono, a Aleksandra Palmarta rozstrzelano w listopadzie tego roku w Warszawie. Józefa Dąbkowskiego rozstrzelano w tym samym czasie w Kaliszu, zaś Ignacego Morozowa, Pawła Wójtkiewicza i Grzegorza Zająca rozstrzelano w Lipnie. Antoni Aksamitowski, Antoni Luboradzki i Hilary Weber poszli, tak jak i wiele osób z tych, którzy pomagali całemu oddziałowi, na syberyjską katorgę. Uratowali się natomiast Kalikst Borzewski, Kajetan Kowalewski i Robert Kurella, którzy z pomocą szlachty przedostali się do Księstwa Poznańskiego i dalej do Francji. Borzewski niedługo już cieszył się życiem. Zaciągnął się do Polskiego Pułku Ułanów we francuskiej Legii Cudzoziemskiej i zginął w 1836 r. w Hiszpanii.

5. Oddział kpt. Michała Wołowicza

Na ziemi litewskiej, już poza granicą Królestwa Polskiego, w guberni grodzieńskiej działalność powstańczą usiłowało prowadzić dwóch naczelników okręgowych. Byli to Marceli Szymański i Michał Wołowicz.

Marceli Szymański urodził się w 1810 r. w Grodnie. Był wychowankiem tamtejszego Gimnazjum Dominikanów i studentem Uniwersytetu Wileńskiego. Uczestniczył w Powstaniu Listopadowym, gdzie został odznaczony Krzyżem Walecznych i prawdopodobnie stopniem wojskowym majora. Po powstaniu wyemigrował do Francji. Zaliwski mianował go okręgowym grodzieńsko-łuckim. Przybył on do Grodna w kwietniu 1833 r. i rozwinął tu ożywioną działalność. Miał problemy ze stworzeniem oddziału partyzanckiego, dlatego zorganizował koło patriotyczne liczące około trzydziestu

osób spośród duchowieństwa, urzędników oraz młodzieży z Gimnazjum Dominikanów i prywatnej żeńskiej pensji Jana Fiżana. Wnet jednak policja wykryła spisek i wyłapała wszystkich jego członków. Stanęli oni przed Komisją Śledczą i zostali ukarani.

Niewielki oddział złożony z samych prawie chłopów utworzył kpt. Michał Wołłowicz. Urodził się w on 1806 r. w majątku Porzecze w powiecie słonimskim. Uczył się w szkołach i odbył studia na Uniwersytecie Wileńskim. W czasie Powstania Listopadowego porzucił dom i narzeczoną Kasyldę i wstąpił do powstańczego wojska litewskiego. Został adiutantem gen. Szymanowskiego w korpusie gen. Giełguda. W wojsku tym służył też jego ojciec i potem razem pojechali na emigrację. Michała Wołowicza wysłano w czasie powstania z jakąś misją do Warszawy i wstąpił on tam do Legii Litewsko-Ruskiej przy Wojsku Polskim. Otrzymał tu stopień kapitana. Po upadku rewolucji wyjechał do Francji, gdzie stał się radykalnym demokratą, członkiem organizacji karbonarskiej i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Wciągnięty wcześniej do przygotowań do partyzantki Józefa Zaliwskiego, przyjął funkcję naczelnika okręgowego nowogródzko – słonimskiego. Wyjechał z Francji do kraju w połowie stycznia 1833 r. Przez Szwajcarię i Niemcy przybył do majątku hr. Kaczorowskiego w Księstwie Poznańskim, gdzie poznał i pozyskał dla wyprawy por. Józefa Jackiewicza, urodzonego w 1812 r. w Borodziszkach w powiecie wiłkomirskim na Litwie, byłego uczestnika Powstania Listopadowego i emigranta w Prusach. Kaczorowski wyprawił obydwóch oficerów ku granicy Księstwa i Królestwa Polskiego. Przeszli ją szczęśliwie pod Bydgoszczą. W czasie wędrówki wstępowali do znajomych albo wskazanych im domów szlacheckich, jak dom Eustachego Chełmickiego w Witoszynie w Lipnowskim, do którego później zaglądnął i Artur Zawisza. Po przebyciu ziem Królestwa, przekroczyli pod Białymstokiem granicę tego Królestwa oraz Cesarstwa Rosyjskiego i znaleźli się najpierw w okręgu grodzieńskim, a potem w rodzinnych stronach Michała Wołowicza. On posiadał tu wielu krewnych, przyjaciół i znajomych, i cieszył się, że względu na szlachetność charakteru i demokratyczne przekonania, wielkim szacunkiem oraz sympatią u ogółu mieszkańców.

Wołłowicz i Jackiewicz zatrzymali się na początku u Dominika Oskierki, szwagra Wołowicza w Bielawcach, a następnie spędzili dziesięć dni w miejscowości Berczynka. Wołłowicz miał niedaleko stąd majątek Porzecze, skonfiskowany mu za udział w Powstaniu Listopadowym i wyjazd na emigrację. Majątek pozostał w tymczasowym zarządzie niejakiego Jurgielewicza. Z Berczynki Wołłowicz nawiązał łączność z Michałem Posiakowskim, ekonomem z folwarku Jałownik, należącym do dóbr

korzeckich. Ten umieścił przybyłych w jałownickiej gorzelnii. Michał Wołłowicz myślał od razu o organizowaniu oddziału partyzanckiego, Jackiewicz udał się w tej sprawie na folwark Borowszczyzna. Tymczasem Wołłowicz, zostawszy sam, a była to pierwsza połowa marca, zachorował z niewygód i zimna. Zdobył więc konia od Szabańskiego i też pojechał do Borowszczyzny. Przebywający tam lekarz Izydor Nahumowicz z Grodna zaopiekował się serdecznie pacjentem i zainteresował projektem prowadzenia wojny partyzanckiej. Później i on to odpokutował

Czwartego kwietnia Wołłowicz i Jackiewicz powrócili do gorzelnii w Jałowniku. Przystąpili do organizowania oddziału partyzanckiego z pomocą Pasiakowskiego. Wołłowicz chciał, żeby w skład jego oddziału weszli chłopci z Porzeczna. Nie szukał na razie kontaktów ze szlachtą. Przysłany Wołłowiczowi przez Pasiakowskiego leśny Leon Panasiuk przyprowadził mu do oddziału braci Jana i Bazylego oraz Jana Feratkę, chłopów z Porzeczna. Dostarczył również broń. Trochę później do oddziału wstąpili jeszcze chłopscy ochotnicy: Jan Martynkiewicz, Bazyl Olizar, Teodor Siejczuk i Tomasz Wasilicki. Oddział Michała Wołłowicza liczył razem z nim i z Jackiewiczem dziesięć osób.

Wołłowicz chciał zdobyć trochę pieniędzy na potrzeby swej działalności. Zaplanował napad na ambulans pocztowy jadący z Brześcia nad Bugiem przez Słonim do Wilna. Dwukrotne próby napadu nie udały się, a zaintrygowały władze rosyjskie. Zaczęły się oblawy na partyzantów na Litwie. Trzeci napad na ambulans przygotował Wołłowicz w dniu 26 kwietnia o godzinie dziesiątej wieczór. Brało w nim udział sześć osób z oddziału. Także i ta akcja nie powiodła się. Feratko i Olizar, którzy podeszli do koni i chcieli je zatrzymać, zostali przez te konie, podcięte przez woźnicę, powaleni i stratowani. Olizar odniósł ciężkie obrażenia i zmarł w pierwszych dniach maja. Oddział musiał uchodzić przed pościgiem i oblawami. Wołłowicz chciał znaleźć schronienie w majątku o nazwie Kijów, należącym do dalekiego krewnego, Jana Wołłowicza. Przestraszony krewny nie tylko nie pomógł Wołłowiczowi, ale chciał go pochwycić i oddać Rosjanom. Michał obronił się, mówiąc, że dom Jana jest obstawiony przez pięćdziesięciosobowy oddział i jego członkowie zabijają właściciela w razie denuncjacji. Jan Wołłowicz, dymisjonowany kapitan Wojska Polskiego, pozwolił Michałowi odejść, ale zaraz w dniu 13 maja doniósł mjr. Golenkowskiemu, dowódcy pułku jęgrów, że poprzedniego dnia był u niego bandycki oddział dowodzony przez Michała Wołłowicza, byłego właściciela Porzeczna. Za tę informację otrzymał tysiąc rubli nagrody. Władze rozpoczęły organizowanie nowych pościgów i oblaw. Zniszczyły wszystkie łodzie na rzece Szczarze, żeby uniemożliwić Michałowi

Wołłowiczowi opuszczenie lasów słonimskich. Odkryto też jego kryjówkę w gorzelnii jałownickiej.

W czasie pobytu w Kijowie do oddziału Wołłowicza przyłączyli się dwaj chłopci: Łapka i Sidorkiewicz, ale w obliczu trudności oddział ten rozpraszal się. Wołłowicz chciał dowiedzieć się czegoś o działalności sąsiednich naczelników okręgowych i w kwietniu wysłał Józefa Jackiewicza na wywiad do Wilna. Jackiewicz nie mógł się tam jednak przedostać poprzez gęste strażę. 30 maja Jackiewicz pojechał jeszcze raz do litewskiej stolicy. Niestety, w dwa dni później został schwytyany koło miasta Lida i postawiony przed sąd. Podawał się za Jakubowicza albo Edwarda Felickiego, aż w końcu powiedział, kim jest. Skazano go najpierw na śmierć przez poćwiartowanie. Gen. Michał Murawiew, namiestnik Litwy, zamienił tę karę na bezterminowe ciężkie roboty na Syberii z utratą praw stanu.

Nie wiemy dokładnie, co jeszcze zrobił Michał Wołłowicz dla wzniesienia akcji powstańczej w swoim okręgu. Była to jednak rzecz prawie niemożliwa. W Porzeczcu i innych miejscowościach trwały już aresztowania i śledztwa. W urządzanych obławach brały udział tysiące żołnierzy i osób cywilnych, zwłaszcza chłopów. Zmęczony i zagoniony Wołłowicz wymykał im się i mówił: „jeżeli działać nie ma już sposobu, to przynajmniej umrzeć nikt mi nie zabroni”. Tymczasem Rosjanie złapali w różnych miejscach pięciu ludzi z oddziału Wołłowicza. Pozostali przy nim tylko Jan Martynkiewicz, Jan Panasiuk i Teodor Siejczuk. Wreszcie i ci czterej mężczyźni, na wpół zemdleni dostali się w zasięg obławy. Chłopi, którzy w niej uczestniczyli, nie chcieli ująć i wydać dziedzica Porzeczca. On nie widział jednak dla siebie przyszłości. Odebrał broń swoim towarzyszom, żeby nie dostali się razem z nią do niewoli. Sam zaś, niezatrzymywany przez nikogo, przeszedł przez linię obławy i podszedł w stronę przedstawicieli władzy kierującymi spędzonymi chłopami. Byli to naczelnik powiatu słonimskiego Kurbatski i asesor Wolf. Wołłowicz zbliżył się do nich z pistoletem w rękę i podniósł go do skroni, chcąc popełnić samobójstwo. Wtedy napadli na niego dwaj urzędnicy przebrani za chłopów i wytrącili mu broń. W czasie szamotania się obydwaj napaścownicy zostali zranieni. Jeden z nich, Karol Kolenda, otrzymał za to potem pięćset rubli nagrody i medal na wstędze św. Włodzimierza z napisem „Za gorliwość”. Michał Wołłowicz, już aresztowany, powiedział do chłopów, że pragnął walczyć o ich wolność i ulżyć im w ciężkiej doli. Zaraz przewieziono go do Słonimia i pomimo tego, że zachorował, podjęto przesłuchanie.

Okręgowy słonimsko-nowogrodzki został powieszony 2 sierpnia 1833 r. w Grodnie w obecności kilkudziesięciotysięcznego

tlumu, który zachował uroczystą ciszę. Mikołaj Dołgorukow, ówczesny wileński gubernator, w liście przewodnim, adresowanym do Aleksandra Czernyszewa, ministra wojny w Petersburgu donosił: „*Wszyscy byli tak wstrząśnięci, że pomimo kolosalnego zgromadzenia ludzie trwali w absolutnym milczeniu*”. Kpt. Michał Wołowicz zginął, jego narzeczona też wkrótce zmarła, jak pisze Chodźko, ze zgryzoty.

6. Oddział poruczników Edwarda Szpeka i Stefana Giecołda

Historycy wyprawy płk. Zaliwskiego podają, że na czele trzeciego partyzanckiego oddziału, zorganizowanego w ramach tej wyprawy w Galicji Zachodniej, stali dwaj przyjaciele, byli porucznicy Wojska Polskiego: Edward Szpek i Stefan Giecołd. Faktycznie oddziałem tym, bardzo zresztą niewielkim, zebranych przez Wincentego hr. Tyszkiewicza w okolicy Kolbuszowej, dowodził Edward Szpek, młody szwagier Zaliwskiego. Powstanie grupy Szpeka i Giecołda, szlak jej wędrówki i dzieje członków znamy obecnie dobrze z zeznań złożonych przez Szpeka przed warszawską komisją śledczą, a opublikowanych przez Władimira Djakowa.

Edward Szpek urodził się w 1811 r. w Warszawie jako syn Karola i Tekli. Karol Szpek zmarł wcześniej i rodzinę utrzymywała jego żona, prowadząca sklep galanteryjny przy ulicy Senatorskiej. Edward przez pięć lat uczęszczał do szkoły ks. Pijarów, od 1827 r. był podoficerem w pułku grenadierów gwardii, w czasie Powstania Listopadowego zaś został przeniesiony do 13 pułku piechoty liniowej w korpusie gen. Michała Rybińskiego, w którym przeszedł całą ówczesną kampanię wojenną.

Stefan Giecołd urodził się w 1803 r. w okolicy Grodna. Studiował prawo na Uniwersytecie Wileńskim, po czym też znalazł się w szeregach 13 pułku piechoty liniowej Zaprzyjaźnił się z Edwardem Szpekem, razem weszli we wrześniu 1831 r. z korpusem Rybińskiego do Prus, potem zaś udali się na emigrację do Francji. Przebywali tam w zakładzie w Awinionie i trochę podróżowali.

W listopadzie Józef Zaliwski wezwał Edwarda Szpeka do siebie do Paryża i powiedział mu o planie „zrobienia powstania” w Królestwie Polskim oraz zamiarze prowadzenia wojny partyzanckiej. Zaproponował mu też objęcie funkcji naczelnika w okręgu stanisławowskim koło Warszawy. Dwudziestojednoletni Edward nie potrafił odmówić starszemu od siebie oficerowi i szwagrowi, chociaż projekt partyzantki od razu wydawał mu się niemożliwy do wykonania. Namówił też przyjaciela, Stefana Giecołda, do objęcia naczelnictwa w jednym z okręgów i przygotowywali się do drogi. Zabrakło jednak dla nich obydwóch paszportów i pieniędzy na

drogę, wyposażyli się sami, jak mogli i trochę jechali, trochę szli w stronę ziemi polskiej, przechodząc potajemnie granice krajów. W szwajcarskim Zurychu spotkali się z Zaliwskim i potem podążali tą, co i on trasą.

Granice Galicji przekroczyli w Białej, byli w Kleczy u Sławińskich, pod Wadowicami, skąd zostali odesłani do Bochni. Z Bochni szli pieszo do Mikołajowic pod Tarnowem. Tetmajer skierował ich do Łobeskiego w Tarnowie, który dał im nieco pieniędzy zwanych reńskimi i wysłał furmanką do Wincentego Tyszkiewicza w Kolbuszowej. Edward Szpek i Stefan Giecołd przybyli do kolbuszowskiego dworu około 18 marca. Przyjął ich pod nieobecność Tyszkiewicza mężczyzna wyglądający na oficera, polecił udać się na nocleg do folwarku Rejowiec odległego o ćwierć mili i przyjsć następnego dnia. W Rejowcu grzecznie podejmował przybyłych Paweł Neymanowski. Przenocowawszy, Szpek znowu przyszedł do Kolbuszowej. Tym razem zastał Wincentego Tyszkiewicza. Tyszkiewicz powiedział, że był uprzedzony przez Zaliwskiego o tym, że Szpek i Giecołd będą u niego. Wiedział o ich przeznaczeniu. Poinformował także, że zostaną odesłani do obywatela Horodyńskiego w Zbydniowie, gdzie otrzymają ludzi i broń. Sam Tyszkiewicz również wybierał się podążać za partyzantami do Warszawy.

Szpek wrócił do Rejowca, gdzie razem z Giecołdem spędzili jeszcze jedną noc, po czy przyjechał do nich wojskowy mężczyzna widziany w Kolbuszowej – Wojciech Gajewski i zabrał ich na furmankę. Neymanowski na odjeźdny powiedział Szpekowi, że zostaną z nimi wyprawieni jeszcze dwaj ludzie. Szpek i Giecołd spotkali ich w przydrożnej karczmie poza Rejowcem. Tam opuścił podróżnych Gajewski, a czterej pierwsi członkowie powstającego oddziału partyzanckiego jechali dalej do Zbydniowa. Edward Szpek nie zapamiętał nazwisk otrzymanych żołnierzy. Utkwiło mu tylko w pamięci, że jeden był Polakiem, drugi Rusinem oraz to, w jakich jednostkach wojskowych służyli. Dzisiaj wiemy, że Polak nazywał się Karol Łachowski, służył niegdyś w Wojsku Polskim, a po upadku Powstania Listopadowego osiedlił się w Weryni koło Kolbuszowej i pracował jako ekonom u Jerzego hr. Tyszkiewicza. Teraz zdecydował się wyruszyć na wyprawę do Królestwa Polskiego. Rusin posiadał historię podobną do Michaiła Fiodorowa, który wszedł do oddziału Józefa Zaliwskiego. Był to Maksym Gawryleńko, urodzony około 1797 r. w Głuszycach w powiecie mińskim, włościanin i unita. W 1831 r. zbiegł z wojska rosyjskiego, przeszedł na stronę polskich powstańców i w końcu znalazł się u Tyszkiewiczów w Kolbuszowej. On też zgodził się iść do partyzantki, licząc, że uda mu się przedostać się do rodziny.

W Zbydniowie Onufry Horodyński przyjął przyjezdnych,

a później powiedział, że muszą się oni trochę zatrzymać, aż Wincenty Tyszkiewicz przyśle to, co powinien przysłać. Trzeciego dnia przyjechał z Kolbuszowej dzierżawca Bielański, który przywiózł trzech mężczyzn, broń i osiem dukatów pieniędzy. Mężczyznami byli: Hamilkar Bentkowski, czyli Dominik Breański z Wojsławia, który był już w oddziale Kaspra Dziewickiego i chciał jeszcze raz spróbować wojny partyzanckiej, Piotr Lewicki, były żołnierz 2 pułku strzelców konnych, urodzony około 1807 r. w Warszawie, nazywany przez Szpeka Szaserem i Józef Olszewski, były szeregowiec 2 pułku ułanów Królestwa Polskiego. Więcej ochotników do oddziału Szpeka i Giecołda nie było i miał on liczyć siedmiu członków. Było ich jednak tylko sześciu, gdyż Olszewski jeszcze w Zbyniowie pokłócił się z kolegą i Edward Szpek usunął go z grona partyzantów.

W domu Horodyńskich rozegrała się znowu scena przebierania partyzantów w szare burki i zaopatrzenia ich w broń (strzelby i pistolety), myśliwskie torby, kule, proch oraz żywność na trzy dni. Potem odwieziono ich lub odprowadzono nad San o ćwierć mili od Zbydniowa i przeprowadzono na drugi jego brzeg nad wsią Brzoza. Z Brzozy przyszedł przewodnik, znany nam już Walenty Flis i przeprowadził oddział przez rosyjską granicę. Była to już noc z 23 na 24 marca 1833 r. Za granicą Szpek odprawił Flisa i ruszył z towarzyszami w stronę Janowa Lubelskiego, podobnie jak Józef Zaliwski. Szpek chciał się dostać, unikając po drodze zetknięcia się z Rosjanami, do swojego stanisławowsko-warszawskiego okręgu. Giecołd miał dużo dalej do okręgu wołkowosko-prużańskiego. Na pierwszym postoju, zrobionym dla posilenia się i odpoczynku, Szpek przeczytał czterem żołnierzom „artykuły partyzanckie” i odebrał od nich przysięgę. Następnie prowadził oddział dalej leśnymi drogami, sprytnie wymigując się patrolom i strażom. Drugiego dnia zasłabł Breański-Bentkowski. Pozostał on w lesie z postanowieniem powrotu do Galicji, co mu się zresztą udało. Szpek, Giecołd i ich trzech towarzysze szli dalej. W tydzień po przybyciu do Królestwa przeszli przez Wieprz i skierowali się do Parczewa.

W tym czasie chyba załamał się i Edward Szpek. W czasie kilkudniowej, niebezpiecznej, pełnej trudu i niedostatku wędrówki zrodził się kryzys jego przyjaźni do Stefana Giecołda. Poróżnili się i planowali rozstanie. Szpek tłumaczył się później w śledztwie, że w ciągu kilku dni drogi przez mocno strzeżony kraj, w zetknięciu się z przestraszoną, sterroryzowaną jego ludnością, zrozumiał, iż organizowanie w pojedynkę antyrosyjskiej dywersji jest niepodobniństwem. Żałował, że podjął się takiego zadania i że namówił do tego przyjaciela, a wstydził się przyznać wobec niego do swoich

myśli. Chciał rozłączyć się z nim niby przypadkiem, rzucić broń i przedostać się jakoś do Warszawy, do matki, odpocząć i może znaleźć pomoc. Sądził, że Giecołd sam też zrobi to, co uzna za stosowne. Gdy więc pod Parczewem przechodzili przez bagno, Giecołd, Gawryleńko i Lewicki przedostali się przezeń szybko, a Lachowski pozostał w tyle, tak samo i Szpek. Potem nie podążył już za Giecołdem, który czekał na niego, wołał go, a nie dostawszy odpowiedzi uznał, że Szpek i Lachowski poszli inną drogą. Liczył jednak na to, że spotkają się w Parczewie. Do tego spotkania jednak nie doszło i Giecołd ze swoimi dwoma towarzyszami udał się ku Radzyniowi, Łukowcu i Siedlcom. Szpek i Lachowski spędzili noc w lesie pod Parczewem. Rano Lachowski poszedł, bez broni, do miasta po żywność. W tym czasie Szpek zakopał jego i swoją broń oraz posiadaną amunicję, a gdy Lachowski wrócił, powiedział mu, że nie widzi szans prowadzenia partyzantki. Przedstawił plan swej wędrówki do Warszawy, by odwiedzić matkę i zorientować się w sytuacji. Lachowskiemu poradził, żeby pomału starał się powrócić, w taki sam sposób jak tu przyszli, do Galicji, gdzie i on, pobywwszy trochę u matki, też powróci. Lachowski zgodził się z tym, że oni obydwaj nie posiadają żadnych widoków na prowadzenie walki partyzanckiej. Stwierdził jednak, że sam nie wróci do Galicji z braku pieniędzy, lecz będzie towarzyszył Szpekowi w podróży do stołecznego miasta. Miał tam siostrę, u której chciał się zatrzymać. Powiedział też, że nawet najął już w Parczewie furmankę, która ich tam podwiezie. Następnego dnia wyruszyli do Łukowa. Tu zauważyli silny ruch rosyjskich wojskowych, więc spędzili pod miastem cały dzień, a wieczorem doszli do wsi Róża. Podali się za handlarzy wieprzy i udało się im wynająć furmankę do miasteczka Okuniew pod Warszawą.

We wsi Majdan koło Okuniewa w okresie Powstania Listopadowego, Szpek stał na kwaterze u zacnego chłopca Filipa Kurka i wierzył, że on mu pomoże. Majdan leżał już na terenie powiatu stanisławowskiego, w którym Szpek miał być okręgowym. Filip Kurek przyjął niespodziewanych gości pod dach swojego domu, będącego właściwie domem jego teścia, Kazimierza Sadoka, sołtysa Majdanu, chociaż obydwom groziła za to surowa kara. Szpek i Lachowski przybyli do Kurka 3 kwietnia, w Wielką Środę. Szpek powiedział Kurkowi nieco o okolicznościach, w jakich się znalazł. Nazajutrz Kurek zawiózł do Warszawy kartkę od Szpeka do jego matki. Tekła Szpekowa, przestraszona nielegalnym powrotem syna, przyjechała zaraz z Kurkiem do niego. On i ona liczyli, że w dużym mieście łatwiej jest ukryć człowieka, niż na wsi. Postanowili, że na drugi dzień Kurek odwiezie Edwarda Szpeka, ubranego w strój

podwarszawskiego chłopca do stolicy na furze z drzewem. Tak się stało. Lachowski pozostał u Sadoka i Kurka.

Szpek znalazł się w rodzinnym domu w Wielki Piątek i spędził w nim z matką, siostrą, służącą i odwiedzającymi je krewnymi i znajomymi ostatnie w swoim życiu Święta Wielkanocne i kilka dalszych tygodni. Nie wychodził poza próg domu, ale wygrzał się, odpoczął, odżywił i wyleczył poranione nogi. W pierwszym dniu świąt odwiedził dom Szpeków Józef Bojarski, były urzędnik Królestwa Polskiego i jeden z opiekunów Józefa Zaliwskiego w dzieciństwie. W innym dniu przyszli Florian Drozdowski, szwagier Szpekowej i Aleksander Augustowski, młody urzędnik, kasjer w Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Bojarskiemu i Drozdowskiemu Edward powiedział otwarcie, po co przybył do Warszawy, za co oni surowo go zgromili. Nie mogli się nadziwić, iż odważył się podjąć rzecz tak szaloną i niebezpieczną. W rozmowie z Augustowskim Szpek przywołał znane już w stolicy rozruchy w województwach krakowskim i sandomierskim dokonane przez zaliwszczyków. Augustowski uciekał szybko zmieszany z domu Szpeków, nie zdradził Edwarda, ale i tak za kontakt z partyzantem poniósł później karę.

W czasie świąt przybył też do Edwarda Filip Kurek, mówiąc, że w podwarszawskich wsiach zauważono już „bandytów” i nakazano w nich jak największe „ostrożności”. Wyrzucił swe obawy, co do przebywającego w jego domu Lachowskiego. Szpek prosił Lachowskiego przez Kurka, posyłając mu pieniądze, żeby wracał do Galicji. Ten jednak nie chciał dalej wracać sam. Odwiedził w Warszawie swoją siostrę, Julianę Kańską, żonę Pawła, pracownika stołecznej fabryki Evansa i powrócił do Kurka i Sadoka.

Edward Szpek spotkał się jeszcze w domu matki z zegarmistrzem Janem Pęczkowskim, a może i innymi ludźmi. Myślał, że zorganizuje sobie w Warszawie jakiś oddział partyzancki i uda się z nim na teren stanisławowski. Nie znalazł jednak kandydatów do pójścia do lasu. Tekla Szpekowa szukała miejsca, w którym mogłaby ukryć syna i nie puścić go już nigdzie, lecz się jej nie udało. 15 maja Filip Kurek znowu zjawił się u Szpeków, mówiąc, że Lachowski jest u niego i nie chce sam wracać do Galicji. Wtedy Edward Szpek ubrał się w chłopskie odzienie, wsiadł na jego furmankę jako woźnica i pojechał do Majdanu, podczas gdy Kurek poszedł do domu na piechotę. Wziął od matki pieniądze i kupił po drodze trochę żywności. Na drugi lub trzeci dzień on i Lachowski opuścili dom Sadoka i Kurka, ale zamiast udać się do Galicji, poszli w okolice Stanisławowa koło Warszawy.

Szpek chciał spróbować wywiązać się ze złożonej przed szwagrem przysięgi i postarać się o zorganizowanie oddziału

partyzanckiego w przydzielonym mu okręgu. Nie mogli jednak wchodzić do wsi, gdzie ludność była im niechętna, nie zorganizowali oddziału, a tylko tułali się po lesie. Edward Szpek jeszcze raz w dniu 21 maja udał się do matki w Warszawie po pieniądze na drogę do Galicji. Smutni i zrezygnowani dotarli w nocy z 24 na 25 maja 1833 r. do wsi Zgórznica pod Stoczkiem Łukowskim, gdyż trudno im było ją ominąć. Tu niespodziewanie natknęli się na dwóch chłopów pełniących wiejską straż i pozwolili się im ująć. Nie walczyli o swoją wolność, nie starali się, tak jak powinni, wyrwać dwom wartownikom i uciekać. Nie posiadali dokumentów i zostali odstawieni na najbliższy posterunek wojskowy, a potem odwiezieni do warszawskiej cytadeli. Tu spotkali się ze Stefanem Giecołdem i jego trzema towarzyszami, a potem zapłacili śmiercią za swoje „występne czyny”. Edward Szpek został rozstrzelany w listopadzie tego roku w Warszawie.

Stefan Giecołd, Maksymilian Gawryleńko i Piotr Lewicki, posuwali się w stronę Siedlec. Szlak ich tułaczki nie jest znany. Wiadomo tylko, że rozproszyli się i zostali schwytani każdy w innym miejscu. Giecołda ujął patrol już 4 kwietnia 1833 r. we wsi Rossorz w gminie Wiśniewo koło Siedlec. Lewickiego oddał w ręce władzy niejaki obywatel Kuszel, właściciel majątku Żelizzew, też w okolicy Siedlec. Gawryleńko wędrował o wiele dłużej, siedł ku domowi i dopiero 12 czerwca przekazał go Rosjanom ks. Radziszewski, wójt wsi Wólka Plebańska w rejonie Białej Podlaskiej. Stefan Giecołd, schwytany z bronią w ręku, został rozstrzelany w listopadzie tego roku w Warszawie. Gawryleńko, Lachowski, Lewicki, Filip Kurek, Kazimierz Sadok, Józef Bojarski i inni ludzie, z którymi zetknęli się w Królestwie Polskim Szpek i Giecołd, też ponieśli „zasłużoną” karę.

7. Oddziały por. Leopolda Białkowskiego i pchor. Feliksa Łubieńskiego

Około 19 marca 1833 r. do Wincentego Tyszkiewicza w Kolbuszowej przyjechali, według słów H. Naglerowej, bracia Feliks i Leopold Białkowscy, nowi kandydaci na naczelników okręgowych, chcąc zorganizować, przy jego pomocy swoje oddziały partyzanckie. Feliks Białkowski urodzony w Wielkopolsce, był kapitanem drugiego pułku piechoty liniowej Wojska Polskiego, miał być okręgowym lubelsko-krasnystawskim, a jego młodszy brat, urodzony w 1804 r., porucznik tego pułku, okręgowym sandomierskim. Z Białkowskim przybył też ksiądz Wincenty Żaboklicki, ich przyjaciel, niedawny polski kapelan wojskowy. Białkowscy i ks. Żaboklicki spędzili dwa dni w podweryńskim folwarczku Rejowiec, po czym Tyszkiewicz odesłał ich do wsi Zaleszany koło Zbydniowa, gdzie miały zostać sformowane ich oddziały.

Nie było to wcale łatwe, pomimo że w Galicji znajdowało się tak wielu oficerów z dawnej armii Królestwa Polskiego. Ludzie ci nie garnęli się tłumnie do szeregów powstańczych tworzonych na rozkaz Józefa Zaliwskiego. Jedni uważali, że uczestnicząc w Powstaniu Listopadowym, spełnili już swój obowiązek wobec ojczyzny. Inni nie chcieli iść na pierwszy ogień, czekali na większy rozwój sprawy. Wincenty Tyszkiewicz, Horodyńscy, Wiesiołowsy z Wojsławia i Lubomirscy z Rozwadowa oraz Antoni Karczewski mieszkający w zbydniowskiej Dzierdźiówce szukali wojskowych do oddziałów Białkowskich przez kilka dni.

Tymczasem w Zaleszanach zmarł ich właściciel – baron Konopka i Białkowsy z ks. Żaboklickim przenieśli się do domu Konstantego Nowakowskiego, który dzierżawił Dzierdźiówkę od Horodyńskich. W tej ostatniej miejscowości zachorował Feliks Białkowski i postanowił wstrzymać się trochę z wymarszem za granicę. Leopold Białkowski, używający teraz nazwiska Lipiński, chciał wyruszyć za brata w Lubelskie, a po jego przybyciu tam, udać się w Sandomierskie.

Oddział por. Leopolda Białkowskiego powstał dopiero przed 1 kwietnia i posiadał, jak podaje H. Naglerowa, piętnaście osób. W. Dżakow mówi, że było ich tylko jedenaście. Znanymi jego członkami, oprócz dowódcy i ks. Żabolicznego, byli: Kazimierz Czechowski, Józef lub Michał Kopczyński, Jan Nowosielski i Tymoteusz Szczaran, żołnierze Królestwa Polskiego i uczestnicy Powstania Listopadowego osiadli po powstaniu w Galicji, tuż przy granicy rosyjskiej oraz Galicjanie: Antoni Karczewski, urodzony około 1813 r. też powstaniec listopadowy, Maciej Chmielowski – murarz i Piotr Rojek – murarz i bednarz pochodzący jak i Chmielowski z Radomyśla nad Sanem, Stanisław Gostyński – siedemnastoletni młodzieniec z Woli Żarczyckiej koło Leżajska, Michał Egidiusz Jakubowski – syn strażnika leśnego z Przeclawia, niewiele starszy od Gostyńskiego i Aleksander Pleniewicz, urodzony w 1815 r. w Pińczowie, a przebywający w tym czasie u krewnych we wsi Rzemień koło Wojsławia. Na krótko przed wyjściem oddziału Leopolda Białkowskiego z Dzierdźiówki przybył do niej pchor. Feliks Łubieński, skierowany do niej na pewno przez Wincentego Tyszkiewicza, ten sam, który był już raz za granicą Królestwa Polskiego z Kasprem Dziewickim. Teraz chciał on iść poza nią znowu z Leopoldem Białkowskim. Białkowski polecił mu jednak tworzyć nowy oddział i ruszać z nim jego, Białkowskiego, szlakiem.

W dniu 1 kwietnia oddział Leopolda Białkowskiego otrzymał w Dzierdźiówce czarne sukmany, jednakowe koszule, czerwone czapki – krakuski i broń przysланą przez Tyszkiewicza. Białkowski zapoznał przyszłych partyzantów z „artykułami partyzanckimi”

Zaliwskiego, a ks. Żaboklicki odebrał od nich przysięgę. Wieczorem Horodyńscy i członkowie oddziału udali się nad San. Przebyli go razem jeszcze z Tytusem Horochem i leśniczym Jabłońskim i w Skowierzyńskim Lesie koło Radomyśla spotkali się z Walentym Flisem, specjalistą od nielegalnego przekraczania granicy. Najbliższy dzień oddział spędził jeszcze w Galicji, uzupełniając żywność darami z Wrzaw, po czym w nocy z 2 na 3 kwietnia przeszedł granicę carskiego imperium i ruszył ostrożnie, znowu kryjąc się po lasach Puszczy Lipskiej, wzdłuż Wisły w stronę Borowa, Rachowa i Józefowa.

Białkowski planował uderzyć na Rachów, ale ominął go i dotarł do dalej położonej wsi Święciechów, stanowiącej własność Nowakowskiego, ojca Konstantego Nowakowskiego z Dzierdziówki. Przybyłemu oddziałowi partyzanckiemu starali się pomóc siostra Konstantego Helena oraz ksiądz wikary z tej miejscowości, Michał Starzyński. Ks. Starzyński przyjaźnił się z ks. Wincentym Kroczewskim ze wsi Prawno, leżącej prawie pod Józefowem i skierował Białkowskiego do niego. Białkowskiego niepokoił brak wiadomości o innych oddziałach partyzanckich i wiedział, że jego oddział jest za mały, żeby zmierzyć się z Rosjanami. Będąc w Święciechowie, postanowił wysłać ks. Żaboklickiego z powrotem do Dzierdziówki w celu przyspieszenia wymarszu oddziału Feliksa Łubieńskiego. W przedostaniu się ks. Żaboklickiego do Galicji dopomógł ks. Starzyński, dostarczając mu dobrego, chociaż głuchego chłopca przewodnika. Żaboklicki dotarł do Dzierdziówki po 10 kwietnia, gdzie oddział Łubieńskiego dopiero się organizował. Oddział L. Białkowskiego spędził Święta Wielkanocne w święciechowskim lesie, będąc w kontakcie z tamtejszymi ludźmi, którzy odnosili się do partyzantów bardzo życzliwie. W Poniedziałek Wielkanocny ks. Starzyński wygłosił w swoim kościele piękne, patriotyczne kazanie. On i ks. Kroczewski odwiedzali oddział Białkowskiego w lesie i wspomagali go pieniędzmi oraz żywnością. Drugi z księży prosił partyzantów, żeby „napadali” na jego plebanie i rabowali pożywienie. Chciał mieć alibi wobec władz w razie, gdyby Rosjanie wpadli na trop „bandy”. Obydwaj duchowni ciężko zapłacili za swój patriotyzm.

Białkowski spotykał się z chłopami z mijanych wsi, zwłaszcza z Prawna, mówił im o partyzanckiej wojnie płk Józefa Zaliwskiego, o mającej nastąpić wolności, równości i braterstwie, o zniesieniu pańszczyzny. Oddziałowi jego długo udawało się wymykać wrogim patrolom. Dopiero w dniu 23 kwietnia partyzanci spotkali się pod wsią Orabówka z ośmioosobowym patrolom kozackim. Wywiązała się potyczka, której wynik był pomyślny dla Polaków. Białkowski podszedł bowiem zrecznie do dowódcy Kozaków i zranił

go. Oficer, nie czując się zdolny do kierowania swoimi ludźmi, kazał się im wycofać. Oddział rosyjski zaalarmował jednak władze Józefowa o ujawnieniu się „szajki”. Te zaczęły organizować obławę, a za głowę dowódcy „złoczyńców” obiecano nagrodę tysiąc rubli. „Złoczyńcy” zaś dotarli pod Józefów nad Wisłą w województwie lubelskim i chcieli go zaatakować, ale czekali na przybycie pomocy z Feliksem Łubieńskim na czele. Białkowski pozostawił w Prawnie Antoniego Karczewskiego, który miał przyprowadzić oddział Łubieńskiego pod Józefów.

Oddział ten powstawał pomału w Dzierdziówce, tworzony tak jak i poprzednie przez Tyszkiewicza, Horodyńskich, Nowakowskiego, Lubomirskich, Horocha i Wiesiołowskich. Teraz w jego utworzeniu pomagała jeszcze Dziewanowska – dziedziczka Skowierzyna. Współdziałał przy tym też nieznan bliżej Jan Siesicki, przebywający chyba w tej miejscowości siostrzeniec ks. Kroczewskiego, który też wstąpił do oddziału Łubieńskiego. Oddział liczył trzynastu członków. H. Naglerowa i A. Barszczewska podają ich nazwiska, chociaż niezbyt dokładnie. Oto one: Józef Berini, Chłono, Józef Dawidowicz, Figurski, Kędziński, Krzyżanowski, Lisicki, Różański, Jan Siesicki, Szablicki, Wielgłowski i Feliks Wścieklica. Ludzie Łubieńskiego też otrzymali lasowiackie sukmany, czapki krakuski, torby myśliwskie, amunicję i broń z Kolbuszowej. Dowódca zapoznał ich z artykułami partyzanckimi, a ks. Wincenty Żaboklicki przyjął od nich przysięgę. Walenty Flis przeprowadził grupę przez granicę Królestwa Polskiego. Ks. Żaboklicki pozostał w Galicji, żeby pomagać organizować następny powstańczy oddział. Z Dzierdziówki przeniósł się on do Dymarki, ukrytej wśród lasów wioski należącej do kolbuszowskiego majątku Tyszkiewiczów, na jej leśnictwo, gdzie gospodarował leśniczy Adam Włyński. Odnajdzie go tu wkrótce Leopold Białkowski.

Tymczasem oddział Łubieńskiego prowadził od granicy do Prawna jego członek Jan Siesicki, który pochodził z tych stron i dobrze je znał. Pochód partyzantów utrudniały organizowane przez Rosjan obławy. Oddział został dostrzeżony i musiał zaraz ukrywać się przez cztery dni w święciechowskich lasach. Siesicki skontaktował się jednak jakoś z ks. Starzyńskim, zdobył od niego informacje i żywność i następnie doprowadził towarzyszy do lasów koło Prawna. Tu powstańcy odpoczywali. Młodzi wiejscy chłopcy przybyli z okolicznych wsi mówili im o pobliskich siłach rosyjskich i chcieli przystać do nich, ale jak zapisał Wścieklica: „*panowie dowódcy nie przyjmowali każąc wstrzymać się na czas późniejszy*”. Łubieński dostał się na plebanie, gdzie czekał na niego Karczewski. Niestety, ks. Wincenty Kroczewski popełnił nieostrożność. Przyjął w obecności Łubieńskiego i Karczewskiego jakiegoś przybyłego

Polaka, rachmistrza z majątku józefowskiego, który okazał się zdrajcą. Zaraz pospieszył z denuncjacją do władzy w miasteczku Józefów. Powiedział, że widział dziwnych gości i że oni gotują się zaatakować Józefów. Setnik Grekow – przywódca józefowskiej załogi, zarządził alarm i postanowił czekać na bandytów w mieście, licząc, że ich wyłapie co do jednego.

Jeszcze tego samego dnia, 29 kwietnia 1833 r., oddział Łubieńskiego połączył się w lesie pod Józefowem z oddziałem Leopolda Białkowskiego i Łubieński zaproponował niezwłoczny atak na to miasteczko. Białkowski zgodził się i obydwaj wojskowi przemyśleli plan uderzenia. Ich połączone oddziały liczyły razem dwudziestu sześciu ludzi. Dwóch z nich pozostawiono w lesie dla pilnowania złożonych rzeczy. Dwudziestu czterech partyzantów podzielono na cztery sześciuosobowe grupy operacyjne. Na czele ich mieli stać: Białkowski, Łubieński, Karczewski i Kopczyński. Grupa Białkowskiego miała zaatakować kozacką straż stojącą na rynku, Łubieński i jego żołnierze mieli zająć kwatery oficerów, a Karczewski i Kopczyński opanować stacje obok stajni końskich i zabrać znajdującą się tam broń. Oddział polski rozpoczął atak około godziny jedenastej. Liczył, że zaskoczy wroga, którego siły były o wiele większe. Tymczasem było inaczej wskutek zdrady rachmistrza. Na józefowskim rynku oczekiwał najścia dosyć duży oddział kozacki. Białkowski zaatakował go i wywiązała się walka. Do Białkowskiego przyłączyły się będące w pobliżu grupy Łubieńskiego i Kopczyńskiego. Rosjanie otoczyli je i Polacy musieli przebijać się przez szeregi rosyjskich dragonów i Kozaków. Śmiałe uderzenie zdeorientowało Rosjan, byli wśród nich ranni, a podobno nawet i zabici. Partyzanci z wymienionych trzech grup żywi, chociaż z obrażeniami, wydostali się z okrażenia oraz z miasta na pobliski cmentarz. W mieście pozostała jednak grupa Karczewskiego i położenie jej stało się tragiczne. Dwóch powstańców, w tym ranny Feliks Wścieklica wymknęło się i dotarło do swoich, czterech zaś popadło w niewolę. Byli to: Antoni Karczewski, Józef Dawidowicz, Egidiusz Michał Jakubowski i Aleksander Plenkiewicz. „Bandytów” czekała śmierć na szubienicy. Karczewski został powieszony w maju tego roku w Lublinie, trzech następnych powieszono w tym samym czasie w Borowie pod Lublinem.

Ocalony Wścieklica przekazał w swoich wspomnieniach potomnym opis bitwy w Józefowie, największej w okresie Załuszczyzny i ten smutny moment, gdy rozgorączkowani polscy bojownicy o wolność obliczyli się wśród nocy na cmentarzu i spostrzegli, że czterech brakuje. Czekali na nich trochę, ale obawiając się pościgu, ruszyli do grabowskich lasów. Tam Białkowski chciał zaplanować nowy napad na Józefów w celu odbicia ujętych

towarzyszy. Wstrzymał go czyjś głos, że może oni już nie żyją i że szkoda narażać życia innych.

Oddziały Białkowskiego i Lubieńskiego tułały się i kryły przez kilka dni po lasach i wertepach. Członkowie ich poznali słabość swoich sił i bezowocność samotnych działań. Zrozpaczeni i samotni pragnęli znaleźć się w bezpiecznym i spokojnym miejscu. Wskutek tego oddziały rozpadły się. Maciej Chmielowski, Tomasz Grabarz i Feliks Skalski przedostali się do Warszawy i pracowali tam, jako murarze. Potem wrócili do Galicji. Józef Barini szukał pomocy u Walentego Kazimierskiego, kolegi mieszkającego w Wałowicach nad Wisłą. Ten zamiast mu pomóc, oddał go, chroniąc siebie, w ręce zaborczej władzy. Barini przyplacił to życiem. Białkowski, Lubieński i kilku innych ich podkomendnych przybyli po męce partyzanckiej wędrówki, do Turbii koło Zbydniowa, po czym 10 maja dotarli do podkolbuszowskiej Dymarki do Adama Włyńskiego i ks. Wincentego Żaboklickiego. W tutejszym państwie Tyszkiewiczów trwał już okres austriackich represji, chociaż organizatorzy Zaliwsczyzny z ziemi tarnobrzesckiej usiłowali jeszcze zorganizować następny powstańczy oddział partyzancki.

8. Oddział mjr. Kaspra Dziewickiego

Oddział mjr. Kaspra Dziewickiego przekroczył granicę Królestwa Polskiego równocześnie z oddziałem Józefa Zaliwskiego w nocy z 19 na 20 marca 1833 r. Kasper Dziewicki urodził się w 1810 r. jako szlachcic wielkopolski. Posiadał gwałtowny, nieustępliwy, twardy i uparty charakter. Wcześniej wstąpił do 4 pułku piechoty Królestwa Polskiego, otrzymując wnet stopień porucznika. Członkowie tego pułku, czwartacy, zasłynęli w czasie Powstania Listopadowego z męstwa i ofiarności. Dziewicki przeszedł w pewnej powstańczej chwili pod komendę Józefa Zaliwskiego i zdobył przy nim szarżę majora. Został też przyjacielem tego pułkownika i razem z nim opuścił kraj w 1831 r. Na emigracji we Francji znalazł się najpierw w obozie w Awinionie. Musiał jednak opuścić obóz za spowodowanie w pojedynku śmierci kolegi – płk. Szlegla, byłego aktywnego rewolucjonisty. Zamieszkał wtedy w Paryżu i współpracował z Zaliwskim nad przygotowaniem antyrosyjskiej partyzantki. Miał objąć w niej funkcję okręgowego radomsko – opoczyńskiego. Historycy Zaliwsczyzny mówią, że Kasper Dziewicki ciężko przeżył zgon kolegi i szukał śmierci za ojczyznę.

Przyjechał on w pierwszej połowie marca 1833 r. do Galicji Zachodniej, do domu Józefa Przerwy-Tetmajera w Mikołajowicach pod Tarnowem. Tutaj i wcześniej po drodze spotkał się z Zaliwskim. Mocno oburzył go fakt, że w zaborze austriackim nie dokonano dobrych przygotowań do powstania i zażądał od Tetmajera ludzi i koni, grożąc, jak podaje A. Barszczewska, że jeżeli nie otrzyma

ich w odpowiednim terminie, to Tetmajerowi „*bebechy rozporze i do stawu razem z nim wrzuci*”. Wobec tego Tetmajer zebrał piętnastu czy szesnastu wojskowych mężczyzn, chociaż bez koni, a przez Wincentego Tyszkiewicza umówił jeszcze ośmiu następnych ze dworu Wiesiołowskich w Wojsławiu. Dziewicki poznał w Mikołajowicach kilku okolicznych ziemian, a wśród nich zaś Konstantego hr. Russockiego, właściciela wsi Górki koło Czermna, który szczerze popierał przyszłą partyzantkę i wybrał Górki na punkt zborny swojego oddziału. Z nich wiodła najkrótsza droga do Radomia. Russocki miał przygotować przeprawę przez Wisłę.

Franciszek Wiesiołowski opisał później we wspomnieniach, w jaki sposób odjeżdżało z Wojsławia do Górek ośmiu wojskowych. Siadali na wóz wśród białego dnia, śpiewając „*Jeszcze Polska nie zginęła*”. Żegnała ich z uniesieniem rodzina Wiesiołowskich i cała wiejska gromada. Młody Franciszek podziwiał zapał kandydatów na partyzantów, wiarę w słuszność sprawy i pomyślność przedsięwzięcia. Mówił im „do widzenia”, myśląc, że za jakiś miesiąc on też podaży za tymi bohaterami i spotka się z nimi w Warszawie, jeżeli nie w samym Petersburgu. Potem pojechał zaraz do Kolbuszowej zdać Wincentemu Tyszkiewiczowi raport ze spełnionej misji i czekał w gorączce i niecierpliwości na wieści o losie powstańców. Przyszły one wkrótce, lecz niestety niepomyślne, a nawet tragiczne.

Sformowany w Górkach oddział Kaspra Dziewickiego był dosyć znaczny. W skład jego weszli: on jako dowódca oraz Aweyde, nieznany z imienia, Dominik Breański, czyli Hamilkar Bentkowski, Chiż, Józef Cybulski, Klimkiewicz, Józef Kurzyjamski, Edward Lange, Lemberger czy Remberger – lekarz, Lenartowicz, Kazimierz Lewandowski – okręgowy piotrkowsko-sieradzki, Antoni Olkowski, Feliks Lubiński, Józef Pisarski, Błażej Przeorski, Eustachy Raczyński, Różycki, Sokolnicki, Edmund Wysocki, Edward Wroński, Wroniecki, Wierzbięta, Wincenty Zagrodzki oraz Zdebel. Oddział liczył, razem z Dziewickim, dwadzieścia cztery osoby. Wroński miał zdaje się być w oddziale zastępcą Dziewickiego. W Górkach wszyscy partyzanci dostali wełniane chłopskie sukmany, broń i żywność. W wyposażeniu ich pomagali panowie: Chwalibóg ze Szczucina, Lipowski z Maniowa i Różycki z Lenki. Dziewicki przedstawił swoim żołnierzom cel wyprawy, odczytał, już u Russockiego „artykuły partyzanckie”, odebrał przysięgę i powiedział, że pierwszym ich zadaniem będzie zniesienie posterunku kozackiego w Staszowie.

A. Barszczewska pisze, chyba za Klimkiewiczem, który później zebrał i pozostawił swoje wspomnienia, że członkowie oddziału Kaspra Dziewickiego przed wyruszeniem za granicę opowiadali sobie, chyba dla podniesienia się na duchu, bajeczki, że „car Rosji jest już zabity, że gen. Paskiewicza, księcia warszawskiego,

namiestnika Królestwa Polskiego, czeka to samo, że Warszawa już powstała i albo wyrznie załogi wojska moskiewskiego, albo uśmierci je, zatruwszy studnie w koszarach”.

O północy z 19 na 20 marca oddział był już nad Wisłą i rozpoczął przeprawę na lewy jej brzeg. Konstanty Russocki popełnił błąd, bo postarał się tylko o jedną łódź dla przewożenia powstańców. Zabierała ona po dwie, trzy osoby i przewóz ich przez rzekę trwał prawie do świtu. Wskutek tego partyzantom nie udało się oddalić wiele od granicy pod osłoną ciemności. Znaleźli się oni, uzbrojeni, na otwartym, bezleśnym terenie i zaraz zostali zauważeni przez mieszkańców, na razie Polaków. Kryli się jakoś przed patrolami, a rozmawiali ze spotkanymi rodakami, gdyż Dziewicki był, według Klimkiewicza, bardzo życzliwie ustosunkowany do chłopów i do Żydów. Chłopom mówił, że przyszli walczyć o wolność Polski oraz o zniesienie pańszczyzny i podatków. Oni zaś czasem odpłacali się wdzięcznością, czasem wręcz przeciwnie. Oddział nie mógł jednak posuwać się w całości do Staszowa i Dziewicki postanowił, żeby zaatakować bliżej położony Połaniec, znany i szanowany od czasów Powstania Kościuszkowskiego. Od karczmarza, Józefa Rybickiego spod tej miejscowości, dowiedział się, że rosyjska załoga w Połańcu liczy tylko dwudziestu sześciu Kozaków. Jednak Łubieński, Wroński i inni sprzeciwili się temu, jako rzeczy zbyt niebezpiecznej. Wskutek różnic doszło do sprzeczki wśród oficerów i oddział Kaspra Dziewickiego rozpadł się na dwie części. Przy Dziewickim zostało jedenastu mężczyzn, reszta odeszła z Łubieńskim.

Dziewicki kontynuował marsz na Staszów, lecz grupa jego wnet znowu uległa rozbiciu. Dziewicki zabrał z sobą czterech partyzantów i ruszył przodem, pozostałym zaś kazał iść za nim albo wracać do Galicji. Z Dziewickim poszli: Józef Kurzyjamski, Antoni Olkowski, Błażej Przeorski i Eustachy Raczyński. Błąkali się oni przez cztery dni po lasach i wsiach, nie znajdując zrozumienia ani u przestraszonych szlachty, ani u większości wrogo nastawionych chłopów. Tylko nieliczni panowie i wieśniacy sprzyjali powstańcom. Po czwartym dniu wędrówki Dziewicki i czterej jego towarzysze dotarli pod wieczór do jakiegoś dworku w pobliżu wsi Rataje (Rataje Kieleckie), prosząc o gościnę. Właściciel obłudnie wyraził zgodę i poczęstował zmęczonych przybyłych kolacją, ale potajemnie zawiadomił najbliższy posterunek wojskowy, że jest u niego zbrojna banda. Posterunkowi natychmiast się zjawili. Kasper Dziewicki próbował się bronić, dostał pięć kul, które jednak nie były śmiertelne. Partyzanci zostali zabrani na posterunek mieszczący się w karczmie. Kurzyjamskiego, Olkowskiego, Przeorskiego i chyba Raczyńskiego wzięto zaraz na przesłuchanie.

Rannego Dziewickiego pozostawiono w osobnej izbie. On znalazł w sobie siłę, żeby zażyć posiadaną truciznę i poprosić o trochę wody, chcąc ją popić. Tymczasem Rosjanie zrobili sąd polowy nad czterema kolegami Dziewickiego i skazali ich na śmierć. Nie wykonali jednak wyroku od razu, lecz mieli go odesłać, razem ze skazanymi do Warszawy, do zatwierdzenia przez gen. Iwana Paskiewicza, księcia warszawskiego i cesarskiego namiestnika w Królestwie Polskim. Po przesłuchaniu i osądzeniu w dniu pojmania, a było to 23 kwietnia 1833 r., Kurzyjamski, Olkowski, Przeorski i Raczyński wrócili do izby, gdzie był Dziewicki i położyli się koło niego na spoczynek. Dzielny, niespełna dwudziestotrzyletni mjr Kasper Dziewicki wtedy żył jeszcze. Zmarł dopiero w środku nocy, oddając życie Ojczyźnie. Był pierwszą śmiertelną ofiarą powstańczej próby pła Józefa Zaliwskiego. Pozostałych czterech partyzantów odtransportowano do stolicy Królestwa. Tam Paskiewicz zatwierdził wyrok śmierci dla Kurzyjamskiego, Olkowskiego i Przeorskiego. Rozstrzelano ich półtora miesiąca później w Cytadeli. Dziewiętnastoletni Eustachy Raczyński otrzymał chłostę, dwa tysiące kijów i zesłanie na bezterminowe, ciężkie roboty na Syberii. Siedmiu wojskowych pozostawionych przez Dziewickiego pod Połańcem postanowiło wrócić do Galicji, przygotować się lepiej i znowu udać się do Królestwa. Byli wśród nich Hamilkar Bentkowski i Klimkiewicz. Bentkowski udał się na wyprawę z Wojsławia i teraz chciał zaprowadzić do niego kolegów będących razem z nim. Siódemka dotarła szczęśliwie do brzozonego zagajnika nad Wisłą i przeleżała trzy dni w łożach i w wodzie, czekając na jakąś łódź, która przewiozłaby ich na galicyjski brzeg. Przyszedł im litościwie z pomocą, spotkany przypadkowo, tamtejszy chłop. Bezinteresownie, bo oni nie posiadali pieniędzy, żywił ich i załatwił przewoźnika przez rzekę. Uratowani od dalszej męki, wiedząc o zgonie Kaspra Dziewickiego, przybyli do Wojsławia i opowiedzieli swoje smutne przeżycia. Franciszek Wiesiołowski przestał myśleć o wyprawie do Królestwa Polskiego. Nie przestał jednak o niej myśleć Hamilkar Bentkowski i ruszył tam wkrótce po raz drugi z Edwardem Szpekciem. Nie wiemy, co przeszli ci partyzanci z oddziału Kaspra Dziewickiego, którzy poszli spod Połańca z Łubieńskim. Byli w okolicy Pacanowa, rozproszyli się, ale nie wpadli w ręce rosyjskie i w większości wrócili do zaboru austriackiego, skąd udawały się za graniczny kordon dalsze oddziały zaliwszczyków.

9. Oddział poruczników:

braci Sulimierskich i Potockich

Tak nazywają historycy Zaliwszczyzny oddział zorganizowany na początku kwietnia 1833 r., chyba w Księstwie Poznańskim

przez braci Faustyna i Walentego Sulimierskich, przy pomocy członków ich rodu oraz znajomych nam już ofiarnych Polaków: Konstantego Kręskiego z Grębanina i Rakowskiego z Rudniczyska. Sulimierscy byli rozsiani szeroko po obydwu stronach granicy prusko-rosyjskiej, Kręski zaś i Rakowski popierali serdecznie powstańczą sprawę. Faktycznym dowódcą zwerbowanego przez nich oddziału był por. Faustyn Sulimierski, szlachcic urodzony koło 1808 r. w Kaliszu, były oficer armii Królestwa, uczestnik Powstania Listopadowego i emigrant mianowany został przez Józefa Zaliwskiego okręgowym kaliskim. Przybył on nielegalnie do kraju na początku marca 1833 r. z Adamem Piszczatowskim i Antonim Winnickim. Pozostał w Domaninie u stryja Bogusława lub też u innych krewnych, czekając na zjawienie się brata Walentego oraz dalszych naczelników okręgowych. Nie wiemy, czy widział się z Krąkowskim i otrzymał od niego jakieś wsparcie, ale należy przypuszczać, że raczej nie.

Kilku czy kilkunastu „żurawi” ściągnęło w Poznańskie dopiero w końcu marca. Byli wśród nich Walenty Sulimierski i bracia Potoccy. Por. Leopold Potocki urodzony w 1809 r. w Poznaniu miał być okręgowym sieradzkim. Wszyscy okręgowi chcieli spełnić podjęte zobowiązanie, stworzyć swoje oddziały i walczyć z wrogiem, jednak nie było łatwo to uczynić. W Wielkopolsce przebywało niewielu emigrantów, byłych wojskowych z Królestwa Polskiego, miejscowych ochotników do powstania również brakło.

Okręgowi zbierali się tu, podobnie zresztą jak i w Galicji, grupami, licząc na późniejszy rozwój akcji. Zwerbowany z trudem oddział Sulimierskich liczył początkowo dziesięć osób. W skład jego wchodził, oprócz dowódcy i jego brata: Napoleon Egersdolff, bliżej nieznanego Antoni Hankiewicz, Polichnowski, zdaje się Ignacy, przyjezdny z Francji, jako kandydat na okręgowego, Kazimierz i Leopold Potoccy, Antoni Stankiewicz, służący Sulimierskich, Strączyński i inni.

Nieznany jest punkt, w którym oddział przeszedł granicę rosyjską i wszedł w Kaliskie. Faustyn Sulimierski marzył o ataku na swoje rodzinne miasto, Kalisz, musiał jednak tego zaniechać z braku sił. Oddział przesunął się w lasy Mazowsza, pod Zduńską Wolę i Aleksandrów Łódzki, w pobliże okolicy, przez którą przejeżdżał nieco wcześniej Antoni Winnicki. Oddział znowu się tulał, wymykając obławom. Rodacy dostarczali mu żywności i informacji. W końcu kwietnia przyłączyło się do niego siedmiu mężczyzn. Byli to trzej okręgowi: Edward Duński, Sylwester Racięski i Adam Sperczyński, niemogący utworzyć w pojedynkę oddziałów w swoich okręgach oraz ochotnicy: Feliks Bugajski, urodzony w 1815 r., Antoni Chełmicki, Antoni Derendowski i Stanisław Ostrzycki. Tak

wzmocniona grupa zaatakowała w dniu 3 maja miasto Szadek. Polacy zabili trzech Rosjan, sami nie ponosząc strat.

Potem oddział skierował się trochę dalej na wschód w stronę Łodzi pod Janowice. Obozował w lesie i tu 13 maja napadli na niego niespodziewanie Rosjanie. Walka, jak pisze A. Barszczewska, była krótka. Feliks Bugajski i Sylwester Racięski dostali się do niewoli, a następnie zostali rozstrzelani w Szadku w listopadzie tego roku. Reszta członków oddziału, z rannym Derendowskim, zdołała zbiec spod Janowca, a nawet i z Królestwa Polskiego, ratując życie i swobodę.

10. Kpt. Adam Piszczatowski

Adam Piszczatowski próbował organizować partyzantkę w imieniu Józefa Zaliwskiego w okolicy Białegostoku. Urodzony na Litwie, kapitan Wojska Polskiego i uczestnik Powstania Listopadowego emigrował do Francji, gdzie został jednym z pierwszych członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Współdziałał nad przygotowaniem Zaliwyszczyny. Mianowany drohiczyńsko – bielskim naczelnikiem okręgowym, przyjechał w Poznańskie na początku marca 1833 r. z Faustynem Sulimierskim i Antonim Winnickim. Z pomocą Rakowskiego przeszedł w dniu 20 marca granicę Królestwa Polskiego, a współdziałając z Julianem Ujazdowskim i Adolfem Łaczyńskim, wybrał się w Białostockie. Nie wiemy, w jaki sposób starał się zorganizować sobie oddział, jak myślał prowadzić działalność partyzancką i kto mu pomagał. Wiemy, że kpt. Adam Piszczatowski został schwytyany w dniu 22 czerwca w lasach pod Surazem. Znalaziono przy nim tekst instrukcji, „artykułów partyzanckich”, przysięgę oraz odezwy do Rosjan. Rozstrzelano go 20 stycznia 1834 r. na drodze do Zabłudowa, pomiędzy Białymstokiem, a wsią Skorupy.

Znamy prawie dokładnie dzieje ośmiu oddziałów: oddziału Zaliwskiego i Dmochowskiego, Dziewickiego, Szpeka i Giecołda, Białkowskiego, Łubieńskiego, braci Sulimierskich i Potockich, Borzewskiego i Zawiszy oraz Wołowicza. Oddziały Chodźki, Duckiego, Dornfelda oraz Bojarskiego zostały tylko wspomniane. Posiadamy natomiast jeszcze wzmianki o innych naczelnikach albo ich działalności partyzanckiej prowadzonej wtedy w Królestwie Polskim i na Litwie. Byli to: Andrzej Majewski nad Wartą, Aleksander Czaki w Płockiem, Wincenty Migurski w Radomskim, Piotr Jankowski w Lubelskiem, Józef Hordyński w Białostockiem i Szymon Konarski w Grodzieńskim. Hordyński przebywał u znajomego, niewidomego

Józefa Sasinowicza, byłego oficera napoleońskiego i naraził go na zesłanie na katorgę syberyjską. Szymon Konarski, znany później emisariusz Młodej Polski, w 1833 r. był okręgowym mariampolsko-kalwaryjskim. Przybył w Augustowskie z kolegą Berensdorfem, skontaktował się z bratem w Dobkiszkach i mieszkał jakiś czas w domu ziemianki Osipowskiej. Nie utworzył oddziału partyzackiego i zagrożony aresztowaniem, wyjechał do Prus.

W okresie partyzantki Zaliwskiego naczelnicy okręgowi rozpowszechniali wśród Polaków odezwy i proklamacje. Jedną z odezw znalazła pewna kobieta w dniu 8 kwietnia, to jest w drugim dniu Świąt Wielkanocnych, w łódzkim kościele rzymskokatolickim. Dała ją do przeczytania tkaczowi, ten zaś przekazał ją władzy, wywołując zatrzymania, śledztwa i indagacje. Treść odezwy była mądra i piękna. Wzywała ona Obywateli Województwa Mazowieckiego do walki o wolność, równość i niepodległość ludzi i wiązała tę sprawę z walką wszystkich narodów europejskich ciemnionych przez tyranów: „Tyran całą rachubę zasadza na wojsku, nie pomnąc, że i żołnierz jest człowiekiem i obywatelem”. Odezwa wzywała tych, którzy noszą broń dla ujarznienia ludów, żeby zrozumieli swój błąd i powinność człowieka wobec człowieka. Zachęcała do przyłączenia się do swoich braci zniewolonych w ich dążeniach wolnościowych, bo rewolucja wszystkich ludów zwycięży, a Polak, chociaż gnębiony, nie upada, lecz wznosi się do ducha czasu. Odezwa ta była podpisana słowami „Zemsta Ludów”.

Józef Zaliwski i wysłani przez niego z Francji na ziemie polskie emisariusze „żurawie”, nie stanowili żadnej siły antyrosyjskiej i nie wywołali ogólnopolskiego powstania narodowowyzwoleńczego. Zostali albo wyłapani i skazani na śmierć, albo zmuszeni do ucieczki. Ruch powstańczy stłumili Rosjanie w zarodku.

Podobnie słabe i nieprzynoszące żadnych sukcesów były rewolucyjne wystąpienia karbonariuszy w Niemczech i we Włoszech, podjęte w kwietniu tego samego roku. Wiemy, że karbonariusze ci liczyli głównie na pomoc polskich oficerów z Wielkiej Emigracji. Oni nie chcieli zawieść rachub spzymierzeńców i wyruszyli ku nim. Z Francji udał się wtedy do Frankfurtu nad Menem pięciuset osobowy oddział polski dowodzony przez płk. Jakuba Antoniniego, a drugi taki oddział, nazywany „Hufcem Świętym”, skierował się pod dowództwem płk. Ludwika Oborskiego do włoskiej Sabaudii, pozostającej w niewoli austriackiej. Jednak zanim oddziały te dotarły, najczęściej na piechotę, do miejsc przeznaczenia, ruchy powstańcze były już uśmierzone i one musiały się wycofać.

Wymarzona przez węglarzy powszechna, europejska walka o wolność ludów i tym razem musiała ulec przełożeniu na okres późniejszy. W maju 1833 r. dotarły na Zachód wiadomości

o porażce wyprawy Józefa Zaliwskiego. Emigranci, zwłaszcza z obozu arystokratycznego, podnieśli złowrogi krzyk przeciwko temu pułkownikowi za spowodowanie nowego rozlewu krwi i zwiększenie represji zaborców wobec Polaków. Tylko nieliczne osoby, a wśród nich Adam Mickiewicz, usiłowały bronić „szalonych” powstańców przeciwko głosom ludzi rozsądnych, a może czasem i tchórzliwych. Nasz wieszcz narodowy pisał w gazecie „Trybuna Ludów”: „Gdziekolwiek jest ucisk wolności i walka o nią tam jest i walka o ojczyznę i za nią wszyscy bić się powinni”.

Powstańcza próba Józefa Zaliwskiego na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego z 1833 r. upadła. Wówczas wydawało się i jeszcze dzisiaj wydaje się wielu naszym rodakom, że była to próba niepotrzebna, bezrozumna i tragiczna. Faktycznie tak było. Zaliwszczyzna stanowiła jednak ogniwo w łańcuchu polskich ruchów wyzwoleniczych, świadectwo tego, że pewien procent Polaków nigdy nie pogodził się z niewolą i stale jest gotowy do walki o jej zrzućenie. Przypomniła zaborcom grożące im „polskie niebezpieczeństwo”, budziła sumienie patriotyczne współziomków, wysuwała i popularyzowała nowoczesne problemy społeczne i rozwijała metody działania konspiracyjnego, partyzanckiego, aktualne do dzisiaj dla ludzi zmuszonych do nierównych zmagania z silniejszym przeciwnikiem. Partyzantka Zaliwskiego była wkładem byłych powstańców listopadowych w walkę o niepodległość Polski, którą utrzymuje się albo odzyskuje tylko krwią i żelazem.

IV. WINCENTY HR. TYSZKIEWICZ
WSPÓŁORGANIZATOR PARTYZANTKI
PLK. JÓZEFA ZALIWSKIEGO W GALICJI
(JEGO RÓD, RODZINA I DZIEJE DO 1832 R.)

Główną bazą antyrosyjskiej partyzantki Józefa Zaliwskiego miała być Galicja Zachodnia, wchodząca klinem widel Wisły i Sanu w ziemię Królestwa Polskiego, a polecenie prowadzenia przygotowawczej pracy powstańczej przekazał Joachim Lelewel, za pośrednictwem emisariusza Waleriana Pietkiewicza, Wincentemu hr. Tyszkiewiczowi – byłemu pułkownikowi armii polskiej, współwłaścicielowi Kolbuszowej w okręgu tarnowskim. Dzięki temu Kolbuszowa weszła w związek z Zaliwszczyzną i jest wspominana w pracach historycznych.

Wincenty hr. Tyszkiewicz, potomek starych magnackich rodów, litewskiego i polskiego, uważany był przez Lelewela i wielu innych ówczesnych ludzi za pierwszorzędną osobistość, za doświadczonego i zasłużonego bojownika o wolność Rzeczypospolitej

Obojga Narodów. Jego rodzinny kolbuszowski dom cieszył się wielkim poważaniem wśród galicyjskiej szlachty i było z niego blisko poza rosyjski kordon graniczny. Do poważania Tyszkiewiczów z Kolbuszowej przez szlachtę przyczynił się też, oprócz zacności ich rodu fakt, że ojciec Wincentego, stryjowie, sam Wincenty i trzech jego bracia walczyli o wolność Polski u schyłku jej istnienia, w epoce napoleońskiej i później. Jeden z nich zginął w tragicznej wyprawie moskiewskiej z 1812 r., pozostali przyplacili służbę oczywiście utratą zdrowia i majątności.

Wincenty Tyszkiewicz, współorganizator partyzantki Zaliwskiego, miał w 1832 r. już poza sobą połowę ciekawego, aktywnego, może nawet burzliwego życia spędzonego na różnych ziemiach przedrozbiorowego państwa polskiego. Służył on od młodzieńczych lat w wojsku Księstwa Warszawskiego, w siedemnastym roku życia otrzymał stopień podpułkownika, trochę później francuski Order Legii Honorowej. Następnie był pułkownikiem II pułku jazdy w Królestwie za Wielkiego Księcia Konstantego, demokratą, członkiem tajnych spisków, powstańcem listopadowym odznaczonym Złotym Krzyżem Orderu *Virtuti Militari*, emigrantem w Niemczech i w Galicji.

Wincenty Tyszkiewicz urodził się 10 kwietnia 1795 r. w Kolbuszowej, jako drugi syn Łucji Franciszki księżniczki Lubomirskiej, współwłaścicielki i przyszłej spadkobierczyni tego miasta oraz jego okolicy i Jerzego Janusza hr. Tyszkiewicza z Litwy, tytułującego się panem na Łohojsku, Poniemuniu i Upicie. Gdy Wincenty przyszedł na świat, jego rodzice nie mieszkali jeszcze w Kolbuszowej na stałe. Osiedlili się w kolbuszowskim dworze w 1805 r. i dali przez to początek pierwszemu chyba galicyjskiemu odgałęzieniu wielkiego, licznego, litewsko-ruskiego rodu Tyszkiewiczów.

Ród ten wywodzą genealogowie od Monwida czy Moniwida, wnuka księcia Gedymina, a za jego pierwszą siedzibę podają Połagę, gród pod Kłajpedą w Kurlandii, gdzie żyli Gedyminowicze. Gedymin zorganizował w pierwszej połowie XIV wieku państwo Litwę, synowie jego podbili olbrzymie naddnieprzańskie obszary Wielkiego Księstwa Kijowskiego, nazywanego też Rusią Kijowską, a najstarszy z wnuków – Jagiełło, zagrożony przez wrogów, szczególnie przez Krzyżaków i Moskwę, zawarł w 1385 r. unię z Królestwem Polskim. Obiecał wcielić do niego wszystkie ziemie litewsko-ruskie i został po przyjęciu wiary rzymsko-katolickiej jego królem. Wspomniany już Monwid, stryjeczny brat Jagiełły, książę kiernowsko-słonimski i wojewoda wileński, podpisał w 1413 r. w Horodle, jako pierwszy z Litwinów, akt drugiej unii polsko-litewskiej zacieśniającej związki pomiędzy szlachtą obydwu krajów. Monwid zawarł w Horodle przyjaźń z Janem Tarnowskim z Tarnowa, wojewodą krakowskim

i przyjął w miejsce swojego znaku, gedyminowskiej Pogoni, herb Tarnowskich, Leliwę: srebrny półksiężyc i gwiazdę na błękitnym polu, pod pióropuszem i koroną. Herbu tego używali wszyscy jego potomkowie, Tyszkiewiczowie z linii starszej, łohojskiej oraz z młodszej, która dobrała sobie przydomek Skumin.

Łohojską linię Tyszkiewiczów zapoczątkował w XVI w. Bazyli, pierworodny syn Tyszki, nazywany też z ruska Wasilem. Był on w młodości dworzaninem króla Zygmunta Starego, potem oficerem w wojsku litewskim, odznaczającym się dzielnością w ówczesnych wojnach, zwłaszcza w bitwie z Moskwą pod Orszą. Bazyli Tyszkiewicz ożenił się w 1516 r. z Aleksandrą księżniczką Czaratorską, dziedziczką miasta Łohojsk na Białorusi i przynależnego do niego majątku, liczącego wiele tysięcy hektarów ziemi. Zaraz po ślubie w tym samym roku dostał Bazyli od króla dziedziczny tytuł hrabiego na Berdyczowie i Łohojsku. Tytuł ten potwierdzali jego potomkom późniejsi władcy Polski, a po jej rozbiorach i władze zaborcze. Bazyli otrzymał od ojca duże posiadłości na ziemi kijowskiej: Berdyczów, Bernawkę, Kodnię, Machnowkę, Ożerany, Rudniki i Słobodyszczce, ale główną siedzibę swojego rodu założył on w Łohojsku. Majątek łohojski leżał w powiecie borysowskim na zachód od Mińska w pięknej okolicy wśród splątanych rzek, łąk, lasów i gorących źródeł. Było stąd tylko niecałe trzysta kilometrów od Warszawy, stolicy zjednoczonej Polski i Litwy.

Bazyli hr. Tyszkiewicz zbudował w Łohojsku nowy murywany, renesansowy zamek, który zasłynął wkrótce ze wspaniałych zbiorów dzieł sztuki. W wieku dojrzałym Bazyli został starostą mińskim i pińskim oraz wojewodą podlaskim i smoleńskim, a umierając w drugiej połowie XVI w., podzielił swoje dobra pomiędzy czterech synów i córkę. Łohojsk z przynależnościami otrzymał drugi z kolei syn Bazylego, Jerzy nazywany z ruska Jurijem; potomkowie Jerzego wojewody brzeskiego i starosty kilku ziem i jego żony Kotówniej, prowadzą nas w linii prostej do Jerzego Janusza hr. Tyszkiewicza, męża Łucji Franciszki z Lubomirskich, ojca Wincentego.

Zanim przedstawię tu niektórych z tych bojarów, wspomnę, że Skumin – Tyszkiewiczowie, trzymali się Wileńszczyzny, a inni rozsiadli się licznie po wszystkich ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego i na Kijowszczyźnie włączonej po Unii Lubelskiej do Korony Polskiej.

W rodzinach Tyszkiewiczów przychodziło na świat w XVI i XVII w. liczne potomstwo, zwłaszcza płci męskiej. Nadawano im podczas chrztu po kilka imion dla zapewnienia jak największej ilości świętych patronów. Córki wydawano za mąż odpowiednio wyposażając, synów kierowano do państwowej służby wojskowej

i cywilnej, chyba mniej zwracano uwagę na przygotowanie ich do zarządzania rozległymi majątkami ziemskimi. Historycy podkreślają, że Tyszkiewiczowie ulegli spolszczeniu już w drugiej połowie XVI w. i że wszyscy odznaczali się wielką zacnością charakterów: byli pobożni, gospodarni, uczciwi, szlachetni, hojni dla ludzi i ofiarni dla kraju. Razem z urodzeniem i majątkiem przejmowali oni obowiązek sprostania czynom swoich przodków. Bardzo wielu z nich ginęło młodo, czasem bezpotomnie w ciągłych zmaganiach Rzeczypospolitej z Tatarami, Moskwą, Turcją, Kozakami i innymi nieprzyjaciółmi. Niektórzy zostawali duchownymi, księżmi, biskupami, przeorami klasztorów. Ci, którzy żyli życiem świeckim, bywali oficerami głównie w wojsku litewskim: pułkownikami, generałami, czasem i hetmanami. W cywilu zostawali ciwunami, tradycyjnymi na Litwie urzędnikami ziemskimi, starostami, kasztelanami, wojewodami, marszałkami, a więc i senatorami. Niektóre stare ich siedziby przechodziły, jako posag córek, w ręce innych feudałów, oni zaś zdobywali przez związki małżeńskie czy zakup nowe dwory, zamki, pałace i należące do nich posiadłości ziemskie.

Można jednak stwierdzić, że z upływem wieków i rozrastaniem się Tyszkiewiczów, rody ich w większości ubożały. Jak rzeka, która rozlewając spłyca się, tak i niektórzy Tyszkiewiczowie z linii łohojskiej również tracili z czasem pozycję bogatych magnatów. Przyczynił się do tego w dużym stopniu, poza sprawami demograficznymi i naturalnymi postępowymi przemianami gospodarczo-społecznymi, upadek Rzeczypospolitej Polskiej oraz udział w walkach o odzyskanie niepodległości. Udział ten przypłacało się w XIX w. cierpieniem fizycznym, duchowym oraz utratą majątków. Przeżycia takie dotknęły na pewno Jerzego hr. Tyszkiewicza – ojca Wincentego i samego Wincentego.

Od Jurija hr. Tyszkiewicza z Łohojska z XVI w. do Jerzego Janusza męża Łucji z Lubomirskich, ojca Wincentego i jego rodzeństwa, wiodli w XVII i XVIII w., syn po ojcu, następujący właściciele tego miasta i majątku: Marcin, Józef, Mikołaj, Emanuel, Władysław, Teodor i Stanisław Antoni. Mieszkali oni, od czasu Teodora, razem z braćmi w Łohojsku, chociaż posiadali różne posiadłości, dzielili go na części w razie potrzeby, potem jednoczyli i oni oraz ich potomkowie tytułowali się panami na nim. W czasie „potopu” Szwedzi spalili zamek i miasto Łohojsk. Miasto, zamieszkałe w dużej mierze przez Żydów, odbudowywało się pomału, zamek zaś pozostał w ruinie przez całe sto lat. Tyszkiewiczowie mieszkali gdzieś w jego pobliżu w pomieszczeniach zastępczych. W 1739 r. właściciele Łohojska: dwaj bracia Teodor i Michał, ludzie niemłodzi już i posiadający własne rodziny, znowu podzielili go pomiędzy siebie. Teodor otrzymał połowę włości, ale

z niewiadomego powodu opuścił je i osiedlił się z żoną i młodszymi dziećmi na ziemi kijowskiej, gdzieś niedaleko od Berdyczowa. Swoją udział łohojski przekazał on chyba trochę później najstarszemu synowi Stanisławowi Antoniemu, który został w przyszłości ojcem Jerzego i dziadkiem Wincentego Tyszkiewicza.

Stanisław Antoni hr. Tyszkiewicz był jeszcze bogatym magnatem. Urodził się w 1727 r. chyba w Łohojsku, ale już w nim nie mieszkał. Po kilku latach nauki służył w wojsku, pnać się po stopniach oficerskich szarż i został w końcu generałem – porucznikiem. Po 1760 r. ożenił się z Ewą Białłozorówną, podstolanką litewską, dziedziczką wiejskiego majątku Poniemuń i miasta Upi-ta, położonych niedaleko od większej miejscowości Poniewicze na Żmudzi. Mieszkał zapewne z żoną w Ponieuniu. W 1763 r. młoda para przeznaczyła ruiny łohojskiego zamku na klasztor oo. Bazylianów, pomagając odpowiednio go odbudować. W cywilu Stanisław Antoni doszedł do stanowiska ciwuna eiragolskiego, kasztelana mścisławskiego i żmudzkiego oraz otrzymał ustanowione przez Stanisława Augusta Poniatowskiego Ordery Orła Białego i Świętego Stanisława. Będąc zapobiegliwym gospodarzem, zakupił jeszcze majątki: hrabstwo Krystyngowskie, Strzednik i w 1782 r. Balwierzyski. Ta ostatnia posiadłość leżąca w pobliżu Mariampola, gdzie trochę później urodził się Józef Zaliwski i Kowna, licząca dwanaście tysięcy hektarów ziemi, stała się ostatnią siedzibą kasztelana Stanisława Antoniego hr. Tyszkiewicza.

Posiadał on czworo dzieci: córkę Eleonorę i synów, z których pierwszym był Janusz, generał litewski u schyłku państwa polskiego, drugim Jerzy Janusz, późniejszy mąż Łucji Franciszki z Lubomirskich, trzecim zaś Tadeusz, słynny w dojrzałym wieku ze szlachetności, patriotyzmu i udziału we wszystkich wojennych kampaniach Polaków i Litwinów od 1792 do 1831 r. Został on również generałem w armii Księstwa Warszawskiego, wcześniej natomiast trzymał do chrztu w Kolbuszowej bratanek, Wincentego, syna Jerzego i Łucji.

Jerzy Janusz hr. Tyszkiewicz urodził się w 1768 r. pewnie w Ponieuniu. Uczył się trochę, a potem wstąpił do pułku jazdy petyhorskiej, czyli pińskiej. W 1790 r. wybrano go, rotmistrza i już kawalera orderów Orła Białego i Świętego Stanisława, posłem żmudzkiem na Sejm Czteroletni, nazywany również Wielkim. Właśnie w czasie obrad tego Sejmu poznał Jerzy w Warszawie i wkrótce poślubił Łucję Franciszkę, córkę Jerzego Marcina księcia Lubomirskiego, generała – porucznika wojska polskiego, starosty barskiego, kazimierskiego, lipnickiego i olsztyńskiego, kawalera niemieckiego Orderu Świętego Huberta oraz Anny Marii z hr.

Hadyk de Futak, półwęgierki, przeszła dziedziczkę Kolbuszowej, małego miasta w Galicji.

Wieś Kolbuszowa powstała w drugiej połowie XV wieku w powiecie pilzneńskim przynależnym do województwa w Sandomierzu, na południowym krańcu dawnej Puszczy Sandomierskiej, w małej kotlinie nad rzeką Trześnią, nazwaną później Nilem, wśród piaszczystej równiny pokrytej wielkimi wydrami żółtego piasku, otoczonej w dalszej kolejności przez rozległe sosnowo-liściaste lasy. Ziemia ta należała wówczas do władców Polski – Piastów, na przełomie XIV i XV w. przeszła jednak w ręce prywatnych panów feudalnych. W XVI w. Kolbuszowa i jej okolica należały do Stanisława Tarnowskiego, który ufundował kolbuszowską parafię, potem do Mieleckich, a w 1616 r. kupił te ziemie Stanisław Lubomirski, hrabia na Wiśniczu, wojewoda krakowski i lwowski, wybitny mąż stanu i wódz, od 1647 r. książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Lubomirski tworzył w Małopolsce wielkie latyfundium dla swojego rodu i ozdabiał je zamkami, pałacami, kościołami i klasztorami. W Kolbuszowej wznosił on też drewniany pałac, stojący na wschód od kościoła, na rozległym dziedzińcu otoczonym czworoboczną fosą. Pałac uchodził za arcydzieło sztuki budowlanej. Wśród powstałych przy nim zabudowań był długi modrzewiowy budynek oficyny dworskiej, usytuowany na zewnątrz fosy, zwrócony zachodnią stroną ku jednemu z dwóch sąsiadujących ze sobą stawów. Obydwa stawy przytykały do przepływającej rzeki, przez groblę pomiędzy stawami prowadziła droga, idąca od Rzeszowa i miejscowości bliższych Kolbuszowej, do kolbuszowskiego kościoła, a następnie do Mielca. Staw, nad którym stała oficyna, otrzymał potem miano „Morza Czerwonego”.

Wnuk Stanisława, Józef Karol hr. Lubomirski, dalej pan na Wiśniczu i starosta wielu ziem założył po 1683 r. pod pałacem swoim z dawna zwanym Kolbuszowa, miasto o tej właśnie nazwie. Wytoczył mu rynek przed kościołem, na zachód od rzeki i stawów, otrzymał od Jana III Sobieskiego pozwolenie na odbywanie na nim targów i jarmarków, a prawa i obowiązki mieszczan określił w dokumencie z 1700 r. Zachęcał ludzi „wszelkiej kondycji” do osiedlania się w nowym mieście, budowania domów murowanych „wieżnych” oraz zajmowania się rzemiosłem i handlem. Jako pierwszych mieszkańców osadził grupę swoich wojskowych, którzy zajęli się wyżej wymienionymi zajęciami oraz uprawą niewielkich gospodarstw rolnych.

Z rzemiosł rozwinęło się w Kolbuszowej najbardziej w następnym stuleciu artystyczne meblarstwo i rozsławiło młode miasteczko w całej Rzeczypospolitej a nawet i dalej. Handel trunkami, kolbuszowskimi meblami i innymi towarami przejęli ściągający tu

prędko Żydzi. Z upływem czasu Kolbuszowa stała się handlowym i administracyjnym centrum dla otaczającego ją, należącego do Lubomirskich terenu, który zintegrował się w ich dominium, czyli państwo. Obejmowało ono ukryte wśród lasów dawne i nowo powstałe wsie, jak: Bukowiec, Nowa Wieś, Świerczów, Siedlanka, Werynia, Dubas, Zarębki, Mechowiec, Ruda, Dymarka i trochę późniejsza Hadykówka. Inny charakter miały dwie wsie przylegające blisko do miasta Kolbuszowa, mianowicie jego przedmieścia: Kolbuszowa Górna i Kolbuszowa Dolna.

W pierwszej połowie XVIII wieku kolbuszowskie dominium przeszło na krótko w posiadanie Sanguszków. Za nich to podobno tutejsza rzeka otrzymała nazwę Nilu, a staw przed oficyną dworską stał się „Morzem Czerwonym”. Po słynnej transakcji z 1753 r. cały majątek z Kolbuszową na czele powrócił znowu do Lubomirskich. Dostał go, razem z posiadłościami na Rusi, na Wołyniu, Podolu i kijowszczyźnie, Antoni Benedykt, syn Jerzego z Rzeszowa, zamieszkały w Janowcu nad Wisłą, a po nim jego syn Marcin Jerzy książę Lubomirski. Książę Marcin Jerzy Lubomirski urodzony w 1732 r. zdobył w młodości, w czasie podróży po Francji i służby w wojsku pruskim podczas wojen śląskich, opinię hulaki i utracjusza. W roku 1765 ożenił się on z Anną Marią von Hadyk, córką austriackiego generała i Marii Lichnowskiej i zdawało się początkowo, że małżeństwo odmieni go na dobre. Chciał służyć sprawom kraju i zdolny był do ofiarnego dla niego czynu. W tym czasie jednak Polacy nie mieli już sił, żeby decydować o losie swojej ojczyzny; decyzja ta przechodziła w ręce władców rosyjskich. Marcin Lubomirski należał do grupy magnatów i szlachty, która usiłowała się temu sprzeciwić. W 1768 r., już jako generał wojska polskiego, starosta Baru na Podolu i innych grodów, przystąpił do zawiązanej właśnie w Barze konfederacji, skierowanej przeciwko carowej Rosji, rozciągającej władzę nad Polską i ulegającemu jej zbytnio królowi polskiemu. Po porażce walk z Rosjanami, przybyłymi na pomoc królowi Poniatowskiemu na Podolu, został marszałkiem konfederacji krakowskiej i walczył dalej w Małopolsce, wydając na wojnę własne środki materialne i ponosząc różne straty. Jedną z tych strat był kolbuszowski pałac zbudowany niegdyś przez Stanisława Lubomirskiego, spalony w 1769 r. przez polskiego przeciwnika księcia Marcina. Pałac nie został już odbudowany. Na dwór w Kolbuszowej zaadaptował sobie książę oficynę stojącą nad „Morzem Czerwonym”. W tym budynku przyszedł na świat w ćwierć wieku później wnuk księcia Marcina, Wincenty Tyszkiewicz.

Wcześniej jednak, w 1770 r. w czasie konfederacji barskiej, urodziła się Łucja Franciszka, córka księcia i przyszła matka Wincentego. W dwa lata później, południowa Polska, a w niej

i Kolbuszowa, dostała się – w wyniku pierwszego rozbioru – do niewoli austriackiej. Otrzymała nazwę Galicji i Lodomerii. Marcin książę Lubomirski zamieszkał wtedy z rodziną w swoich wołyńskich posiadłościach, ale najczęściej przebywał w Warszawie, stolicy okrojonego, rzekomo jeszcze wolnego państwa polskiego. Pogodził się z królem i nie stracił stopnia generalskiego. Rezydował w kupionym pałacu „Pod blachą”, położonym obok królewskiego zamku. Roztoczył opiekę nad stołecznym teatrem i powrócił do wesołego życia. Trwoniał olbrzymie sumy pieniężne uzyskiwane dzięki sprzedaży dóbr, zwłaszcza na Rusi. Skokietowany jeszcze w siedemdziesiątych, czy już w osiemdziesiątych latach przez młodziankę wojewodziankę kijowską, Honoratę Stempkowską, rozwiódł się z Anną Marią z Hadików, pozostawiając jej córkę, majątek kolbuszowski, a może i jakieś wioski na Ukrainie. Utrzymywał jednak przyjazne stosunki towarzyskie z byłą żoną oraz córką, które też często bywały w stolicy i na królewskim dworze. Na dworze tym często gościli różni Tyszkiewiczowie, ponieważ dwaj spośród nich: Wincenty i Ludwik, poślubili bratanicę króla Stasia. Wincenty hr. Tyszkiewicz, urodzony w Łohojsku, jako wnuk pozostałego tam Michała, brata Teodora, został mężem Marii Teresy z Poniatowskich, córki gen. księcia Andrzeja, siostry księcia Józefa, referendarzem wielkim koronnym, panem na znacznej białoruskiej posiadłości Świsłocz. Ludwik Skumin – Tyszkiewicz, pan na podwileńskich Dubinkach czy Dzikuszkach i innych włościach, mąż od 1775 r. Konstancji Poniatowskiej, córki księcia Kazimierza, był ulubieńcem Stanisława Augusta, hetmanem polnym, podskarbin i marszałkiem wielkim litewskim oraz budowniczym wspaniałego pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, słynnego do dzisiaj obiektu architektonicznego.

Tymczasem Łucja Franciszka Lubomirska wyrosła na piękną pannę i w patriotycznej atmosferze Sejmu Czteroletniego poznała w Warszawie w 1790 r. i poślubiła Jerzego Janusza hr. Tyszkiewicza, rotmistrza petyhorskiego, posła żmudzkiego, zacnego Litwino-Polaka tytułującego się panem na Łohojsku, Poniemuniu i Upicie, gorącego zwolennika, przygotowywanej, a następnie uchwalonej Konstytucji 3-go Maja. Nie wiemy dokładnie, ale można przypuszczać, że młodzianka para przebywała w czasie obrad Sejmu Wielkiego w stolicy, stałym zaś miejscem jej zamieszkania miał być Poniemuń. W którejś z tych miejscowości urodził się w 1791 r. pierworodny syn Jerzego i Łucji, Jarosław Maurycy hr. Tyszkiewicz.

Obrady sejmu przerwała jednak tragiczna konfederacja targowicka i wojna rosyjsko-polska, przynosząca drugi rozbiór Polski. W czasie wojny Jerzy był zapewne w wojsku. Nie ma jednak

na ten temat wiadomości. Zapisano zaś, że podczas Powstania Kościuszkowskiego został on członkiem litewskiego rządu powstańczego nazwanego Deputacją Centralną, prezesem Komisji Porządku. W powstaniu tym uczestniczyli też dwaj bracia Jerzego, Janusz generał litewski i rotmistrz Tadeusz, adiutant gen. Jakuba Jasińskiego, świadek jego zgonu na warszawskiej Pradze. Po upadku Insurekcji powstańcy starali się przeczekać gdzieś w obcych stronach pierwsze represje władz rosyjskich. Jerzy Janusz hr. Tyszkiewicz również opuścił Litwę i pojechał z żoną, synkiem, bratem Tadeuszem i gronem przyjaciół, wśród których mieli być księża Hugo Kollataj i Kazimierz Konopka, do Kolbuszowej. W kolbuszowskim dworze nad „Morzem Czerwonym” mieszkała wtedy matka Łucji Tyszkiewiczowej, Anna Maria z Hadyków, odznaczona austriackim Krzyżem Gwiazdzystym. Właśnie w czasie tego pobytu Jerzego i Łucji w Kolbuszowej, rodzina ich powiększyła się w kwietniu 1795 r. przez przyjście na świat drugiego ich syna. Ochrzcił go zaraz z wody i soli tutejszy ksiądz proboszcz Kapuściński, nadając imiona Wincenty Ferreriusz Jerzy Tadeusz. Obowiązki rodziców chrzestnych pełnili Tadeusz hr. Tyszkiewicz i panna Katarzyna Szatkowska, a wszystko to jest zapisane ozdobnymi literami w parafialnej księdze ochrzczonych. Wnet potem małżonkowie Tyszkiewiczowie powrócili z dziećmi do Poniemunia. Tam w 1796 r. urodził się im trzeci syn Henryk, potem czwarty, Jerzy Henryk, a następnie dwie córki: Adelajda i Klementyna.

W Kolbuszowej pozostał i to na kilka lat, rotmistrz Tadeusz Tyszkiewicz, człowiek miły, spokojny i bardzo prawy. Dopiero w 1801 r. wyjechał stąd do Francji z zamiarem wstąpienia do Legionów Polskich J. H. Dąbrowskiego. Nie uczynił on tego jednak pod wpływem niechętnego Napoleonowi Tadeusza Kościuszki, ale pozostał w Paryżu, aby studiować inżynierię wojskową. W 1806 r., gdy Napoleon podjął wojnę z Prusami jako wojnę polską, Tadeusz wrócił do Warszawy opuszczonej przez Prusaków, podjął współpracę z księciem Józefem Poniatowskim, zorganizował oddział Gwardii Narodowej ubrany w piękne stroje i witał na jej czele, razem z księciem Józefem, cesarza Francuzów, wjeżdżającego w grudniu tego roku w warszawskie mury. Napoleon wzięł Gwardię do swojej służby, a jej dowódcą, kpt. Tadeusz hr. Tyszkiewicz, został ulubionym cesarskim adiutantem. Odbił przy boku „boga wojny” kampanię pruską z 1807 r., ale zawiedziony postanowieniami pokoju w Tylży tworzącym zamiast Polski Księstwo Warszawskie, poprosił o zwolnienie ze służby przy cesarzu, a wstąpił do armii Księstwa. Został w nim wkrótce pułkownikiem i dowódcą II pułku jazdy w legii księcia Józefa Poniatowskiego. W cztery lata później przyjechali do Tadeusza i wstąpili do jego pułku trzej bratankowie

pragnący rozpocząć, zgodnie z rodową tradycją, działalność dla kraju. Trzej Tyszkiewiczowie przyjechali z Kolbuszowej w Galicji, gdzie mieszkali z rodzicami wg G. Białyni-Chołoddeckiego od 1805, a H. Naglerowej od 1806 r.

Nie wiemy, co spowodowało osiedlenie się Jerzego Janusza i Łucji Franciszki z dziećmi w tej galijskiej posiadłości. Można jednak przypuszczać, że Jerzy nie posiadał udziału w Łohojsku, że otrzymał go po ojcu starszy brat Jerzego, Janusz, a Jerzy dostał z ojcowskiej schedy Poniemuń i Upitę – majątki, które zostały mu skonfiskowane. Jerzy uchodził za dobrego, zapobiegliwego gospodarza i na pewno lekkomyślnie się ich nie pozbył. Dóbr tych nie otrzymał żaden z synów Jerzego i Łucji, a w drugiej połowie XIX w. posiadały one licznych właścicieli.

Okolo 1800 r. wykruszali się rodzice tej pary małżeńskiej. Ewa z Białozorów zmarła już wcześniej; jej mąż Stanisław Antoni rozstał się z życiem w 1801 r. w Balwierzyszkach, przeznaczając je synowi Tadeuszowi; Marcin książę Lubomirski osiadł na starość w podkolbuszowskiej wsi Trzęsówka, gdzie zmarł w 1800 r., a spoczął w kościele parafialnym w sąsiedniej wsi Cmolasy; Anna Maria z Hadików spędziła swoje ostatnie lata jako rezydentka na dworze księcia Sanguszki w Tarnowie i gdy odeszła na zawsze w 1803 r., pogrzebano ją na tamtejszym starym cmentarzu. Wdzięczna córka Łucja postawiła jej nagrobek. Może Jerzy i Łucja mieszkali jakiś czas w Balwierzyszkach i opuścili je na wieść o powrocie z Francji ich spadkobiercy Tadeusza. Wiadomo, że Łucja otrzymała w 1805 r. austriackie odznaczenie, Krzyż Gwiazdzysty. Począwszy od 1805, aż do 1811 roku przebywała ona z dziećmi, a na pewno i z mężem w Kolbuszowej. Trzymała tu do chrztu kolbuszowskie dzieci: dworskie i mieszczańskie. Stwierdzają to zapisy w wymienionej już parafialnej księdze chrztów, nazywające ją: „Illustrissima Comitissa de principibus Lubomirski Łucia Tyszkiewiczowa, Heredissa bonarium Kolbuszowa”. Nie ma zaś w tej księdze żadnego zapisu odnoszącego się do męża Łucji. Nie istnieją też żadne wzmianki o dziecięcych latach Wincentego i jego rodzeństwa. Ludwik Jabłonowski zapisał tylko we wspomnieniach, że Wincenty Tyszkiewicz otrzymał wychowanie i nauczanie „domowe”, czyli prawie żadne, ale on szlacheckim sprytem z podchwyconych rozmów i przerzucanych romansów przeczuwał i odgadywał wszystko. Wyrastał, jak jeszcze Jabłonowski dodał, na niezwyklego człowieka o rosłej budowie ciała, orlim wyglądzie, ujmującej serdeczności i czynnej naturze. Był też Wincenty Tyszkiewicz z Kolbuszowej odważny od młodych lat i wcześniej nauczył się strzelać celnie z pistoletu. Dlatego też, mając szesnaście lat, stał się niechcący sprawcą rodzinnej tragedii, matkobójcą. Zastrzelił on bowiem przypadkiem

swoją matkę, czterdziestoletnią Łucję Franciszkę Tyszkiewiczową. Do tego dramatu doprowadziła sama Łucja, mająca wesołe i żartobliwe usposobienie. Przy rodzinnym stole kolbuszowskiego dworu powtarzano modne wówczas opowiadania o duchach i grasujących rozbójnikach. Hardy Wincenty, słuchając tego, nie okazywał strachu, matka zaś chciała go przestraszyć i wypróbować. Poszła w księżycową noc 27 maja 1811 r. okryta białym prześcieradłem, razem ze stróżem pod okno pokoju śpiącego już Wincentego. Stróż uderzał w okiennicę i krzychał coś grubym, nieswoim głosem; przebudzony Wincenty otworzył okiennicę, miał w ręku broń i wystrzelił do białej zjawy. Strzał był celny. Łucja wydała krzyk bóleści i umarła. Tragiczny ten wypadek zanotowała istniejąca już gazeta lwowska, przekazali potomnym pamiętnikarze i zapisał też ksiądz proboszcz w kolbuszowskiej księdze zmarłych. Łucja Franciszka hr. Tyszkiewiczowa, ostatnia właścicielka Kolbuszowej z rodu Lubomirskich została pochowana w tym mieście w krypcie pod kaplicą Pana Jezusa, w parafialnym kościele. Przedwczesny zgon Łucji rozbił jej dom i na pewno z tego powodu trzej prawie już dorośli synowie Łucji i Jerzego Tyszkiewiczów udali się do Warszawy, stolicy Księstwa Warszawskiego, do stryja, wkrótce już generała i wstąpili do dowodzonego przez niego II pułku ułanów.

Wprawdzie Józef hr. Tyszkiewicz w pracy „Tyszkiewicziana” wspomina tylko, że w pułku tym w latach 1811-1812 służyli Wincenty i Henryk Tyszkiewiczowie, ale z pewnością był z nimi i ich najstarszy brat, Jarosław Maurycy. Bracia ci wzięli udział w 1812 r., podobnie jak i stryj oraz kilku innych Tyszkiewiczów z Litwy i Białorusi, w wielkim znowu tragicznym wydarzeniu – w napoleońskiej wyprawie na Moskwę. Wiemy to właśnie z powyższej pracy Józefa Tyszkiewicza. Interesował się on 17 Pułkiem Jazdy Litewskiej stworzonym przez jego przodka, a po przybyciu Napoleona na Litwę, dołączonym do Wielkiej Armii. Wspomina też wszystko, czego się dowiedział o jego członkach – Tyszkiewiczach. Informacji tych było jednak niewiele, bo cała dokumentacja francuskiej armii uległa zniszczeniu podczas straszliwego odwrotu. Trzech Tyszkiewiczów z Kolbuszowej jechało konno na wschód w szeregach II pułku jazdy Księstwa Warszawskiego, który wchodził w skład dywizji jazdy gen. Kamińskiego i 5 korpusu francuskiego, stanowiącego przednią straż prawego skrzydła wielkiego wojska. Brali udział w utarczkach z Rosjanami i w bitwach pod Mirem Smoleńskim, Możajskiem i Borodino. Józef Tyszkiewicz nie napisał nic o Jarosławie, Wincentemu przyznaje stopień podpułkownika, najwięcej zaś wspomina Henryka. Henryk bowiem, adiutant w II pułku ułanów Księstwa, przeszedł po bitwie pod Smoleńskiem, z tego pułku, awansowany z majora na podpułkownika, do

17 pułku Jazdy Litewskiej. Jeżeli chodzi o wysokie szarże wojskowe kolbuszowskich Tyszkiewiczów uzyskane w tak młodym wieku, to można chyba stwierdzić, że rzemiosło wojenne mieli oni z pewnością wrodzone, że wtedy brakowało oficerów, no i koligacje ich też odgrywały swoją rolę.

Autor pracy „Tyszkiewicziana” przekazał nam wiadomość, że jakiś Tyszkiewicz zginął w bitwie pod Borodino, a gen. Tadeusz hr. Tyszkiewicz dostał się pod Medyną do niewoli rosyjskiej. Tyszkiewiczem poległym pod Borodino był Jarosław Maurycy, najstarszy syn Jerzego Janusza i Łucji Franciszki, mający lat dwadzieścia jeden. Gen. Tadeusz Tyszkiewicz popadł w niewolę w czasie odwrotu Wielkiej Armii z Moskwy, gdy jego jednostka osłaniała lewe jej skrzydło. Zainteresował się nim gen. Michał Kutuzow, główny dowódca wojsk carskich, obdarzył tysiącem rubli na drogę i wysłał kibitką daleko od frontu, aż do Archangielska. Wincenty i Henryk Tyszkiewiczowie byli wśród nielicznych żołnierzy i oficerów Wielkiej Armii, którzy wrócili z moskiewskiej wyprawy; służyli dalej w swoich pułkach i uczestniczyli w dalszych napoleońskich kampaniach z 1813 i 1814 r. Brali na pewno udział w Bitwie Narodów pod Lipskiem i przeżyli śmierć księcia Józefa Poniatowskiego. Nie wiemy, w jakich krajach i miejscowościach znalazł się Wincenty Tyszkiewicz ze swoim II pułkiem ułanów oraz kiedy i za co otrzymał on Order Legii Honorowej. Henryk Tyszkiewicz brał udział w walkach w Niemczech i w Danii, był dwa razy ranny, szlak jego wiódł przez Hamburg, Wejsmar, Eistet, Zegeberg, gdzie pozostawał on aż do 1815 r. Postępował, jak zapisał Józef Tyszkiewicz, z chwałą dla siebie i dla imienia polskiego.

W pułku ułanów Księstwa dowodzonym przez księcia Schwarzenberga służył też w 1813 i 1814 r., Jerzy Henryk, czwarty, najmłodszy syn Jerzego i Łucji Tyszkiewiczów. Trwało to jednak niedługo. Wincenty i Henryk wrócili, po upadku Napoleona z Europy Zachodniej do Księstwa Warszawskiego, przekształconego na Królestwo Polskie ze swoimi pułkami; Wincenty był pułkownikiem w II pułku ułanów, jak długo, nie wiadomo. Henryk opuścił wojsko w 1817 r., gdzie potem przebywał, trudno odgadnąć. Wincentego zaś nazywają pamiętnikarze Łukasinińczykiem, musiał zatem należeć do tajnego spisku mjra Waleriana Łukasinińskiego, do zawiązanej przez niego w 1819 r. organizacji wolnościowej o nazwie Wolnomularstwo Narodowe, nazwanej w 1821 r. Towarzystwem Patriotycznym. H. Naglerowa pisze, że Wincenty był uczestnikiem tajnych związków rosyjskich i po ich ujawnieniu schronił się przed prześladowaniem do Galicji. Towarzystwo Patriotyczne, już za Łukasinińskiego rozciągało działalność także i na ziemie litewsko-białoruskie i ukraińskie należące przed rozbiorami do Rzeczypospolitej.

W 1822 r. policja rosyjska wpadła na trop organizacji i podjęła aresztowania i procesy. Walerian Łukasiński został skazany na dziewięć lat więzienia, ale wywieziony do kopalni w Nereczyńsku zmarł tam po pięciu latach aresztu.

H. Naglerowa nie podaje, czy Wincenty Tyszkiewicz był zagrożony aresztowaniem w 1822 r., gdy ujęto Łukasińskiego i innych, czy w cztery lata później. Zdaje się, że chyba później. Towarzystwo Patriotyczne nie przestało istnieć po 1822 r.; przywódcą jego był ppłk Seweryn Krzyżanowski. Weszli do niego obszarnicy z Królestwa, Rusi i Ukrainy pragnący przyłączyć do Królestwa ziemie białoruskie i ukraińskie. W 1824 r. Komitet Centralny Towarzystwa Patriotycznego nawiązał kontakt z rosyjskimi szlacheckimi rewolucjonistami, członkami Stowarzyszenia Północnego i Południowego; polscy rewolucjoniści byli członkami tych związków i chcieli działać wspólnie dla obalenia caratu i przeprowadzenia rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. W grudniu 1825 r. spiskowcy rosyjscy podjęli w Petersburgu próbę powstańczą przeciwko nowemu carowi – Mikołajowi I, która otrzymała nazwę powstania dekabrystów. Władze carskie stłumiły słaby, źle przygotowany i przeprowadzony ruch. Czołowych jego przywódców straciły, innych zesłały na syberyjską katorgę. Odkryto też wtedy związki pomiędzy dekabrystami, a członkami istniejącego Towarzystwa Patriotycznego.

Wincentemu hr. Tyszkiewiczowi teraz chyba groziło ujęcie przez policję, ale w 1826 r. uciekł on przed nią do Galicji. Tu został jednak aresztowany przez Austriaków współpracujących z Rosją w zwalczaniu polskich rewolucjonistów. Sprawa na razie jest bliżej nieznana. H. Naglerowa pisze, że przebywał przez osiem miesięcy w więzieniu lwowskim i przechodził proces, z którego pozostało niewiele dokumentów. Wincenty jakoś wybronił się i po pewnym czasie pojechał z powrotem do zaboru rosyjskiego, zdaje się, że na Wołyń. Chyba tam ożenił się w 1827 r. i mieszkał do wybuchu Powstania Listopadowego. Nie wiemy, jak w tym czasie żył ojciec Wincentego, Jerzy Janusz. On pewnie postarał się w 1816 r., wobec zgonu w 1814 r. swojego starszego brata Janusza, o zwolnienie z zesłania do Archangielska brata Tadeusza. Tadeusz hr. Tyszkiewicz powrócił do Balwierzyszek i oddanego mu przez zmarłego kuzyna Wincentego hr. Tyszkiewicza, męża Marii Teresy z Poniatowskich, majątku Świsłocz. Wkrótce ożenił się, został ojcem dwóch córek, a stracił swoje duże, piękne posiadłości za przystąpienie do rządu litewskiego w czasie Powstania Listopadowego i wyjazd na Wielką Emigrację po jego upadku. W podobnym chyba czasie, co i gen. Tadeusz, stanął po raz drugi na ślubnym kobiercu Jerzy Janusz, były mąż Łucji Franciszki. Gdzie i z kim nie wiadomo, ale

według genealogii J. S. Dunin-Borkowskiego w 1819 r., przyszedł na świat jego piąty syn, który otrzymał imię Jarosława po przyrodnim bracie, poległym pod Borodino. Jerzy Janusz, hr. Tyszkiewicz zmarł w 1831 r. w okresie Powstania Listopadowego we Lwowie. Mały jeszcze Jarosław żył w kolbuszowskim dworze pod opieką przyrodniej siostry, Adelajdy.

W latach dwudziestych XIX w. potomkowie Łucji Franciszki i Jerzego Janusza zakładali własne domy. Henryk hr. Tyszkiewicz, były oficer z armii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, poślubił w 1823 r. Eufrozynę Szolayską, córkę Stanisława, właściciela ziemskiego i marszałka szlachty w powiecie humańskim na Podolu. Henryk został panem na niewielkim majątku Oczeretna czy raczej Oczeretnia w okolicy Dolnego Dniepru. Gdy zmarł on w trzydzieści lat później, spoczął w klasztorze w Berdyczowie. Jerzy Henryk hr. Tyszkiewicz, związany z Kolbuszową, pojął w 1825 r. za żonę Felicję, córkę Kajetana hr. Reya z niedalekiego Przeclawia, dziedziczkę Weryni, sprzedanej niegdyś przez Marcina księcia Lubomirskiego oraz małych własności ziemskich w pobliskich wsiach Kupno i Widelka. Jerzy, nazywany przez Ludwika Jabłonowskiego „Grubym Jurem” tytułował się panem na Weryni i Widelce, zarządzał też faktycznie, zwłaszcza od śmierci ojca, całym majątkiem kolbuszowskim, stanowiącym w okresie partyzantki płka Józefa Zaliwskiego, rodzinną współwłasność Tyszkiewiczów. Klementyna Tyszkiewiczówna, młodsza siostra Wincentego, wyszła około 1825 r. za mąż za Konstantego Ruckiego z Małej koło Ropczyc, gdzie zamieszkała.

W kolbuszowskim dworze nad „Morzem Czerwonym” pozostała z przyrodnim bratem Jarosławem, Adelajda Tyszkiewiczówna. Poślubiła ona dopiero w 1838 r. Pawła Neymanowskiego z okolicy Jasła, dzierżawcę folwarczku Rejowiec koło Weryni. Wiemy już, że w 1827 r. ożenił się i Wincenty Tyszkiewicz. Wziął on ślub z Febronią z Szolayskich, siostrą bratowej Henrykowej, rozwiedzioną z Michałem hr. Moszczeńskim, matką czworga dzieci. Nie wiadomo, czy Wincenty Tyszkiewicz dostał od ojca jakiś majątek, czy mieszkał w posiadłościach żony. J. S. Dunin – Borkowski nazywa go panem na Niewierzu, posiadłości wiejskiej w powiecie szamotulskim. Powiat ten leżał jednak wtedy w Wielkim Księstwie Poznańskim i Wincenty przed 1848 r. nie miał z nim kontaktów; mieszkał on z żoną gdzieś na Wołyniu. Tam też jest wieś Niewierz koło Brodów i może właśnie w niej był pierwszy własny dom Wincentego Tyszkiewicza. W tym domu, dokładnie nie umiejscowionym, urodził się w 1828 r. pierwszy syn Wincentego i Febronii, zapisany przez genealogów jako Janusz, a pewnie Jerzy Janusz. Pamiętnikarze, a za nimi pisarze historyczni podają, że po wybuchu Powstania

Listopadowego, pewnie wczesną wiosną 1831 r. Wincenty i Henryk Tyszkiewiczowie przystąpili do organizowania ruchu powstańczego na Wołyniu i Podolu, od Bugu po Dniepr. Wincentego wybrała tamtejsza szlachta jego naczelnikiem oraz posłem do Sejmu w Królestwie Polskim z podkijowskiego okręgu skwirskiego. Był wtedy z Wincentego Tyszkiewicza, według L. Jabłonowskiego „niezwykły człowiek, rosły i gładki w obejściu, serca prawego i gorącego charakteru, namiętny, energii niepomamowanej; zdawał się być stworzonym na dyktatora”. Brakowało jednak Wincentemu, jak dodaje ten pamiętnikarz, pewności siebie i dlatego, gdy do powstania na Ukrainie przystąpił stary generał Benedykt Kołozsko, Wincenty oddał mu jego kierownictwo.

Wincenty chciał zebrać na Wołyniu i Podolu, co najmniej dwadzieścia tysięcy powstańców, było to jednak niemożliwe. Do walki przystępowała tylko szlachta, której było niewiele, a siły rosyjskie były wielkie. Wobec tego polski ruch powstańczy na Ukrainie upadł, pomimo, że dowództwo z Królestwa Polskiego usiłowało przyjść mu z pomocą. Wincenty Tyszkiewicz przedostał się wtedy do Królestwa, gdzie działania wojenne trwały nadal. Przeprowadziła go tam, w chłopskiej odzieży, przez rosyjski obóz gen. Rudygera na Lubelszczyźnie, dzielna Polka, panna Regina Wisłocka, ofiarna pracownica powstańczych szpitali polowych. W Królestwie Wincenty miał brać udział w bitwie pod Ostrołęką i uczestniczył w pracach Sejmu oraz reaktywowanego Towarzystwa Patriotycznego. Był on, tak jak i płk Józef Zaliwski, członkiem delegacji bolimowskiej, mającej rozpatrzyć postępowanie gen. Jana Skrzyneckiego. Może Wincenty Tyszkiewicz starał się przez brata Jerzego Henryka z Kolbuszowej i Weryni w Galicji o zdobycie broni i amunicji dla powstania, a może Jerzy czynił to z własnej inicjatywy, w każdym razie wiemy tylko o jednym transporcie broni zakupionym w lecie 1831 r. przez Jerzego Henryka Tyszkiewicza, który przybył do Weryni i miał stąd odejść przez Zbydniów do Królestwa Polskiego. Transport ten zakupił Jerzy Henryk rzekomo we Lwowie, u kupca Galixelliego, będąc tam w sierpniu w związku ze zgonem ojca, Jerzego Janusza. Transport zawierał około stu karabinów, dwieście pięćdziesiąt pistoletów i półtora korca saletry. Być może, że nie kupił tego sam Jerzy Henryk, lecz Komitet Obywatelski zorganizowany we Lwowie przez galicyjską szlachtę pod przewodnictwem Franciszka Ksawerego hr. Krasickiego dla wspierania Powstania Listopadowego, do którego Jerzy Henryk należał. W każdym razie, zanim transport odszedł do Królestwa, przyszła z niego wieść o upadku powstania i broń została w Weryni, ukryta w zabudowaniach dworskich. W dwa lata później,

w 1833 r. przysporzyła ona wiele kłopotów Jerzemu Henrykowi, jego żonie i rodzeństwu.

Tymczasem Wincenty Tyszkiewicz otrzymał w Królestwie, przy końcu Rewolucji Listopadowej, Złoty Krzyż *Virtuti Militari* i po kapitulacji Warszawy przeszedł do Księstwa Poznańskiego, skąd po okresie internowania udał się na emigrację, na razie do Lipska w Niemczech. W Lipsku Wincenty spotkał wielu wychodźców polskich, a wśród nich i Walerego Zwierkowskiego, przyjaciela i agenta Joachima Lelewela, który organizował, jak już wiemy, przerzut emigrantów polskich do Francji i znał już myśl Lelewela o zbieraniu sił do nowego powstania. H. Naglerowa pisze, że Wincenty Tyszkiewicz współdziałał przy udzielaniu pomocy Polakom i przy urządzaniu w Lipsku obchodów 41. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Jeżeli nie został on karbonariuszem jeszcze przed Powstaniem Listopadowym, to teraz stał się nim na pewno. Pobyt Wincentego w tym niemieckim mieście opisał później we wspomnieniach Ryszard Wagner, znany kompozytor. W 1832 r. był on młodym wrażliwym chłopcem i mocno przeżywał dramat polskiego Powstania Listopadowego; garnał się do przybyłych do Lipska jego uczestników, podziwiał ich i czcił. Największym zaś bohaterem, wspaniałą gwiazdą, świecąca wśród Polaków-tułaczy, ucieleśnieniem ideału powstańca był dla Ryszarda właśnie Wincenty hr. Tyszkiewicz. Wagner zobaczył go po raz pierwszy w „Gewandhaus”, słynnej lipskiej sali koncertowej, podczas koncertu muzyki Bethovena; potem spotkał Wincentego w domu swojego szwagra, Fryderyka Broskhausa, wydawcy – księgarza, karbonariusza, przewodniczącego Komitetu Przyjaźni Niemiecko-Polskiej. Ogorzała twarz i szlachetna, bardzo wielkopańska postawa Tyszkiewicza, jego szamerowana kurtka i beret z czerwonego aksamitu, wprawiły chłopca w niesłychany zachwył.

Wincenty Tyszkiewicz jeździł po Lipsku w czterokonnej karecie, przed którą uciekali w popłochu uliczni przechodnie. Chwilami bywał on, według Wagnera, bardzo smutny i wyrażał troskę o żonę i synka pozostawionych na Wołyniu. Smutek jego wnet jednak przemienił się w radość, bo w lecie 1832 r. przyjechała do Lipska Febronia Tyszkiewiczowa z czteroletnim Januszkiem, cudownie pięknym, jak zanotował Wagner, dzieckiem. Febronia też przeżywała boleśnie klęskę Powstania Listopadowego, ale myślała o ratowaniu egzystencji swojej rodziny, chronieniu tego, co można było jeszcze uratować. Jechała do Wiednia starać się osobiście u cesarza o pozwolenie dla męża i dla siebie na pobyt w Galicji. Pani hr. Tyszkiewiczowa otrzymała paszporty na pobyt czasowy w Galicji. Wskutek tego Wincenty Tyszkiewicz nie ruszył na dalszą emigrację do Francji. We wrześniu 1832 r. był już w Kolbuszowej

i podpisywał, jako pierwszy z rodzeństwa, sporządzony tu wtedy spis inwentarzowy wspólnego kolbuszowskiego majątku. Trochę później wyjechał z żoną i dzieckiem do miejscowości Nawaria koło Lwowa, należącej do Faustyna Szolańskiego, krewnego Febronii Tyszkiewiczowej. Tam odnalazł Wincentego w listopadzie 1832 r. Walerian Pietkiewicz, emisariusz Joachima Lelewela i przekazał mu polecenie czynienia przygotowań dla partyzantki płk Józefa Zalińskiego.